ŚWIAT

Nr. 14
3. IV. 1937.
CENA 1 ZŁ.

Mussolini, w czasie swej podróży po afrykańskich posiadłościach Włoch, asystował przy manewrach wojsk tubylczych pod Tripolisem



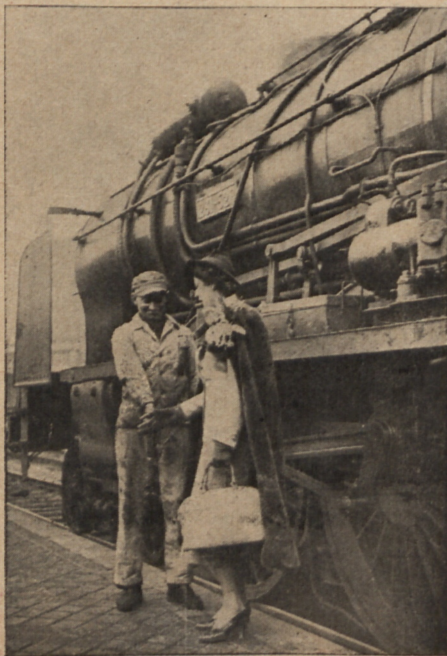
ŚWIAT

REDAKTOR NACZELNY LEON CHRZANOWSKI

ROK XXXII Nr 14 3.IV 1937

PRZED OBJEKTYWEM „ŚWIATA"

Germaine Aussey, słynna aktorka, udała się do Stanów Zjednoczonych na parowcu „Normandie". W Paryżu przed zajęciem miejsca w wagonie artystka zapragnęła osobiście poznać maszynistę wiozącego ją pociągu — właśnie widzimy, jak wita zażenowanego swym kostjumem robotnika

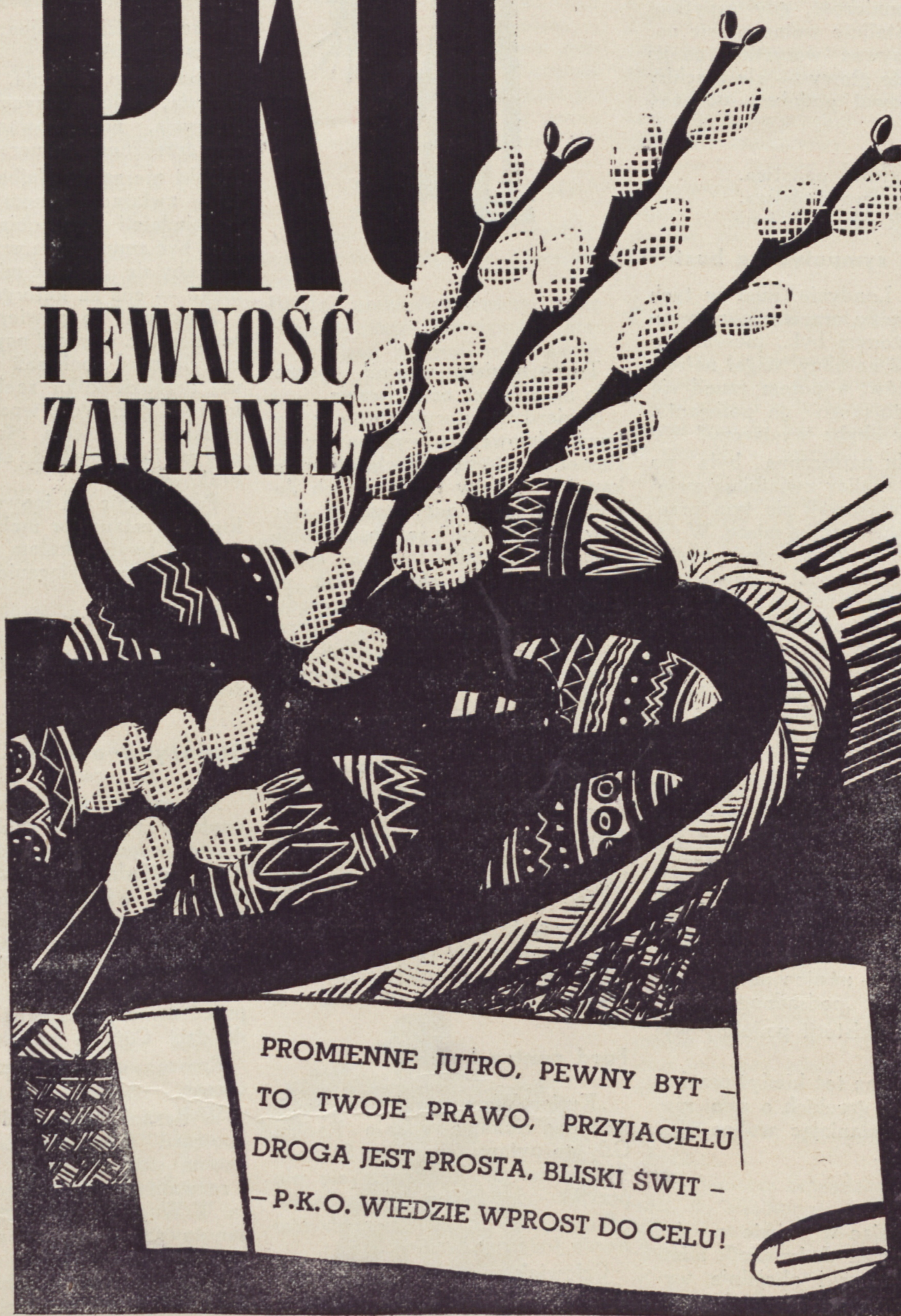




Ci młodzieńcy — to najlepsi bokserzy armji angielskiej. Należą do 2-go Pułku Królewskiego i swej ekstra-klasy dowiedli po licznych walkach eliminacyjnych



Miss Muriel Oxford, jedna z najpiękniejszych angielek, nosząca tytuł „Miss Wielkiej Brytanii". W tych dniach stała się ona powodem tragicznej śmierci znanego aktora Vespera, który rzucił się z pokładu okrętu w morze, otrzymawszy kosza od pięknej Muriel


PKO
PEWNOŚĆ
ZAUFANIE
PROMIENNE JUTRO, PEWNY BYT —
TO TWOJE PRAWO, PRZYJACIELU
DROGA JEST PROSTA, BLISKI ŚWIT —
— P.K.O. WIEDZIE WPROST DO CELU!

POŁÓW  PEREŁ

Dwie miary

Nie kocham bolszewików. Nie kocham też hitlerowców. Ani ich reżymów. Nikt mnie przeto nie posądzi o stronniczość, gdy zapytam: czemu o Stalinie wolno prasie naszej wypisywać wszystko, co jej przyjdzie do głowy — ale niechby kto sprobował podobnie dotknąć Hitlera...

A przecież —
I tu — głowa państwa.
I tu — głowa państwa.
A jednak miary — inne...

Co może sympatyczna buzia

Sąd w Londynie miał w tych dniach twardy orzech do zgryzienia: oskarżonym był... piesek. Pogryzł kogoś na ulicy, ścigał natrętnie cyklistów, a potem rzucił się na „aresztującego" go policjanta. Jak na raz chyba wystarczy?

Sala sądu natłoczona była po brzegi. Bo anglicy uwielbiają zwierzęta i interesowali się tym przestępcą ponad wszelką miarę. W roli obrońcy „oskarżonego" wystąpił — jego właściciel. Opowiedział ze wzruszeniem, jaki to mądry piesek. Raz uratował swemu panu życie, budząc go, gdy w domu wybuchł pożar. Jest pozatem z natury łagodny, tylko owego feralnego dnia ktoś mu nadokuczał, więc był zdenerwowany. Cóż to, czy pies — to pies?

W końcu swej filipiki właściciel wyjął z kieszeni fotografję oskarżonego, chcąc przekonać sąd jak łagodny jest jego „wyraz twarzy".

Na sędziego spojrzała mordeczka wesolutka, sprytna, o mądrych oczkach. Poprostu — rozbrajająca. Sędzia rzucił okiem na fotografję — rozczulił się — uśmiechnął i z punktu uniewinnił „podsądnego".

Był już w historji podobny wypadek.

Piękna Fryne też kiedyś przekonała sędziów greckich o swej niewinności, odsłaniając wobec nich swe wdzięki...

Rewelacja

Odpowiadając w Sejmie na interpelację posła Jedynaka, minister Kościałkowski oficjalnie wyjaśnił powody usunięcia wykonawców testamentu Jakuba Potockiego od zarządu Fundacją jego imienia.

To co minister ujawnił — przeszło najśmielsze oczekiwania.

Stwierdził autorytatywnie z trybuny sejmowej, że wykonawcy testamentu, którzy nie chcieli przekazać majątków fundacyjnych dopóki ich nie oczyszczą z długów — „czyścili" je dość osobliwie: zastali obdłużenie w sumie półtora miljona złotych — a po dwuch latach własnego zarządu, eksploatowania, wyrębów, sprzedaży etc. — pozostawili długi większe — mianowicie już przeszło 2 miljony.

Więc na cóż szły te krociowe sumy?

No jakże! — przedewszystkiem na pensje dla samych wykonawców testamentu. Jak stwierdził min. Kościałkowski — przez dwa lata dwaj panowie wykonawcy wyliczyli, że im się za ich pracę należy 280 tysięcy złotych. I z tej bagatelnej sumki realnie już zainkasowali przeszło 200 tysięcy.

Minister bez najmniejszego współczucia przerwał tę intratną zabawę.

Ford contra Lenin

„Kurjer Warszawski" przypomina jedno ciekawe zdanie Radka. Gdy go pytano, czemu w Stanach Zjednoczonych komunizm się nie przyjął—odrzekł on bez wahania: *„Wobec 20 miljonów samochodów Forda jesteśmy bezsilni"*.

Człowiek w aucie nie jest materjałem na komunistę. To jasne.

Od tej strony sprawy motoryzacji nikt w Polsce nie bierze pod uwagę.

Psycholog

Kiedy mówię, że pieniądze leżą na ulicy — nikt mi nie wierzy. A przecież leżą — no proszę.

Czego ludziom najbardziej brak w restauracji?

Smacznego jedzenia, wygodnego krzesła, miłej muzyczki, czystego nakrycia, niefałszowanego wina, czy grzecznego kelnera?

Nikt nie zgadł. Najbardziej brak im — zwłaszcza panom — drzemki poobiedniej! Zjeść obiad na mieście i być zmuszonym wracać do domu, aby się „na pięć minut" zdrzemnąć — cóż za katorga...

Zrozumiał to pewien londyński restaurator. Głęboki psycholog. Zacna dusza. I obok sali restauracyjnej urządził kilka zacisznych pokoików, gdzie gość wpaść może na moment w objęcia Morfeusza — aby mu już niczego do szczęścia nie brakowało.

Powodzenie tej inowacji jest takie, że restaurator mebluje już teraz nad swym lokalem całe piętro, przeznaczone wyłącznie na drzemki.

I zbija majątek.
Łut szczęścia?
Nie — miligram spostrzegawczości.

Starożytni—a wiek XX

Nie bądźmy zbyt zarozumiali na punkcie „zdobyczy wieku XX-go". Nawet w sprawach czysto technicznych. Bo jednak piramidy stoją kilkadziesiąt wieków — i ani drgną. Colosseum stoi dwadzieścia wieków — i gdyby nie barbarzyńcy średniowieczni byłby dziś calutenki. Starorzymskie drogi układane przed dwoma tysiącami lat trwają do dziś. Cóż im przeciwstawimy?

Proszę: oto wyczyny nowoczesne.

W Berlinie samochód ciężarowy „potrącił" niechcący jakąś nowoczesną czteropiętrową kamienicę. I rozwalił ją, jak uderzeniem młota. W Warszawie w ciągu kilku dni zanotowano w śródmieściu dwa pożary w nowoczesnych nawet luksusowych kamienicach. Powód? Belki wpuszczone nieprawidłowo w kominy.

Symbol naszego stulecia — tandeta.

Skandal

Są rzeczy, o których z kpinkami mówić nie można — tylko z najgłębszem oburzeniem. Należy do nich sprawa „Strzelca", organu Związku Strzeleckiego — a więc wydawnictwa *ideowego,* jeżeli sądzić wolno z pozorów.

Jak donosi prasa pomorska, specjalny numer noworoczny „Strzelca" zawierał bogaty dział ogłoszeniowy. Ogłoszenia te — to były *reklamy 152 majątków niemieckich w Poznańskiem i na Pomorzu* — reklamy wymowne, wychwalające stan gospodarczy i rolniczy wielkiej własności niemieckiej w Polsce i podkreślające, jak *dawno dany majątek znajduje się w rękach* tej samej niemieckiej rodziny. Lat kilkadziesiąt, sto, dwieście, nawet trzysta...

Całość tych reklam — dobrze płatnych, naturalnie — stanowi znakomitą propagandę i obronę praw wielkiej własności niemieckiej w państwie polskiem. Całość ta zredagowana pod kątem wykazania zasług niemieckich właścicieli dla kultury rolnej Poznańskiego i Pomorza — stanowi bardzo pomysłowy argument w walce obszarników niemców przeciwko parcelacji rolnej. Gdyby taki „numer specjalny" wydało jakiekolwiek pismo niemieckie w Polsce — możnaby to zrozumieć, jako dążenie do *obrony interesów niemieckości w granicach państwa polskiego.*

Na łamach „Strzelca" — reklamy te są czemś potwornem.

Zaznaczyć przytem wypada, że ową olbrzymią kolekcję reklam niemieckich poprzedzono enuncjacjami i portretami najwybitniejszych osób urzędowych w Polsce, poczynając od prezydenta Mościckiego i marsz. Śmigłego Rydza. Jakby dla pokrycia ich autorytetem owej niesławnej i antypaństwowej roboty reklamowej.

„Strzelec" jest pismem ideowem. Jest pozatem wydawnictwem subwencjonowanem. „Dorabianie" sobie na boczku grubych dochodów kosztem takich kompromisów moralnych — jest skandalem na miarę państwową. I gdyby żył Wielki Marszałek...

Ech, niema o czem mówić.

Niezdarne wyjaśnienie wydawnictwa, nadesłane prasie codziennej, niczego nie wyjaśnia. Redakcja „Strzelca" komunikuje mianowicie że nie posiada najmniejszego wpływu na administrację pisma — gdyż redakcja i administracja są od siebie najzupełniej niezależne.

Powiemy niedwuznacznie: BUJAĆ TO MY, ALE NIE NAS!

Nawet początkujący praktykant redakcyjny wie doskonale, że kierunek ideowy wielu redakcji uzależniony jest od funduszów, czyli od administracji. Że pisma zależne, subwencjonowane, temsamem muszą mieć związane ręce i kierunek ściśle wytyczony. Że natomiast pismu szczerze ideowemu *nie wolno się wysługiwać nawet w dziale reklam* czynnikom obcym, ani gloryfikować ich rzekomych „świętych praw" do polskiej ziemi.

„Strzelec" podlega, jak słychać, bezpośrednio władzom wojskowym.

Bardzo ciekawi jesteśmy, jakie sankcje spotkają łapczywą a nieprzebierającą w środkach... administrację „ideowego" wydawnictwa...

Anonimowy obrońca

„Wiadomości Literackie" wystąpiły z przedziwną tezą, że Rzymowski, który z Akademji ustąpił — pozostaje nadal jej członkiem, gdyż akademikiem jest się dożywotnio. Chyba że, jak precyzuje art. 10 statutu Akademji, członek Akademji popełni czyn hańbiący. Wówczas może być pozbawiony swej godności łącznem zarządzeniem prezesa rady ministrów i ministra W. R. i O. P. na podstawie uchwały Akademji.

„Wiadomości Literackie" stwierdzają dalej kilkakrotnie z naciskiem, że w ich pojęciu w danym wypadku czynu hańbiącego nie było.

Podobno „o upodobaniach i kolorach dyskutować jest trudno". Ale o tem, co jest czynem hańbiącym, a co nie — napewno znacznie łatwiej. Jeżeli przywłaszczenie sobie cudzej własności i podanie jej za swoją nie jest w dziedzinie twórczości literackiej czynem hańbiącym — to już naprawdę trudno przewidzieć, coby „Wiadomościom" wystarczyło.

Najzabawniejsze jednak, że nikt, ale to dosłownie nikt w redakcji „Wiadomości" nie zdobył się na odwagę podpisania własnem nazwiskiem tak... oryginalnej enuncjacji. I artykulik — wbrew przyjętym w tem piśmie zwyczajom — pozostał skromnie anonimowy.

Może to zresztą oznacza, że cała redakcja i wszyscy współpracownicy — jak jeden mąż — uważają, że eks-akademik jest bez skazy...



Ciernie wśród zwiędłych róż

Dawni ministrowie przechodzą niedobrą passę. Niedawno minister Kwiatkowski z trybuny parlamentarnej wypalił bez ogródek — jakże słusznie — wszystko co myśli o „radosnej twórczości" byłego premjera Kozłowskiego. Szary człowiek czytał i aż podskakiwał z radości na krzesełku. „A to mu zadał bobu!"

Bo mało jest, stwierdzić trzeba, ex-mężów stanu, „cieszących się" tak *żywiołową niepopularnością* jak twórca Berezy.

Znów w dniu zamknięcia sesji sejmowej poseł Dębicki wygłosił ciężkie oskarżenia w stosunku do byłego ministra Skarbu, Zawadzkiego, i oznajmił, że powinienby właściwie zażądać postawienia tego ministra przed Trybunał Stanu. Nie zrobi tego jednak bo *nie chce wywoływać sensacji.*

Niesłusznie. Bezkarność ministrów nie jest wcale systemem dobroczynnym.

Popełniane przez nich lekkomyślności, które mogły kraj zgubić — znane były wszystkim już w czasie ich rządów. Tylko że wówczas — prasa miała „zamknięte usta".

Jedynie swobodne wróble świergotały o wszystkiem na dachach...

Ex-minister Zawadzki podał zresztą do wiadomości publicznej, że chętnie stanie przed Trybunałem Stanu, aby zarzuty posła Dębickiego odeprzeć.

Chwała Bogu. Szykuje się niebylejaka sensacja.

Uparty nurek.

„CHOPIN" LEOPOLDA BINENTALA

(życiorys twórcy i jego sztuka)

Wyd. Księgarni F. Hoesicka, Warszawa 1937

Jednym z najbardziej zawstydzających paradoksów polskiego życia kulturalnego był doniedawna fakt, że we własnej swej ojczyźnie Chopin nie posiadał jeszcze popularnej biografji, któraby umiejętnie ukazywała jego wielkość szerokim masom czytelników. Mieliśmy już coprawda wydawnictwa specjalne poświęcone Chopinowi, ale żadne z nich nie stawiało sobie za cel zbliżenia genjuszu do najszerszych sfer przez źródłowe ale pozbawione pedanterji opracowanie dziejów jego życia, aby na tem tle uwydatnić jego indywidualność niezwykłą i nieśmiertelną twórczość.

Możnaby sobie zadać pytanie: czy stawianie sobie takiego celu jest wogóle wskazane? Czy Chopin nie powinien pozostać na najwyższych szczytach Parnasu — niedostępny przez swą nadludzką wielkość? Czy zrozumienie w nim człowieka i zbliżenie się do tego człowieka nie pomniejszy go jako twórcy?

Wątpliwości tych nie ma nikt, kto zetknął się z kultem Chopina na szerokim świecie. Pamiętam osobiście drobne zdarzenie, które mi dobitnie dowiodło, czem jest Chopin dla najszerszych mas — poza granicami ojczyzny, niestety...

Było to w Rzymie przed piętnastu laty. Szukałam tam wówczas mieszkania — i poszukiwania te wprowadzały mnie zupełnie przypadkowo w środowiska ludzi najróżniejszych stopni kultury. W jednym z mieszkań pertraktowałam właśnie z właścicielką — niezamożną wdową po małym urzędniku państwowym. Rozmowie przysłuchiwała się jej córka, dziewczynka piętnastoletnia. Gdy na zapytanie jakiej jestem narodowości, wymieniłam Polskę — dziewczynce zabłysły oczy. „Mamusiu — szepnęła błagalnie z jakąś namiętną egzaltacją — niech mamusia tym państwu koniecznie wynajmie mieszkanie — ci państwo są z Warszawy... *Tam spoczywa serce Chopina*"...

Wygląda to trochę jak umoralniająca bajeczka, stworzona ad hoc dla grzecznych dzieci — nieprawdaż? A jest zdarzeniem zupełnie autentycznem. Wyszedłszy wówczas od tych prostych, skromnych ludzi, zastanawiałam się z zażenowaniem, czy równie żywy kult dla Chopina istnieje i w Polsce. Musiałam z przykrością stwierdzić, że nie.



Rodzice Fryderyka Chopina (rysunek ołówkowy)

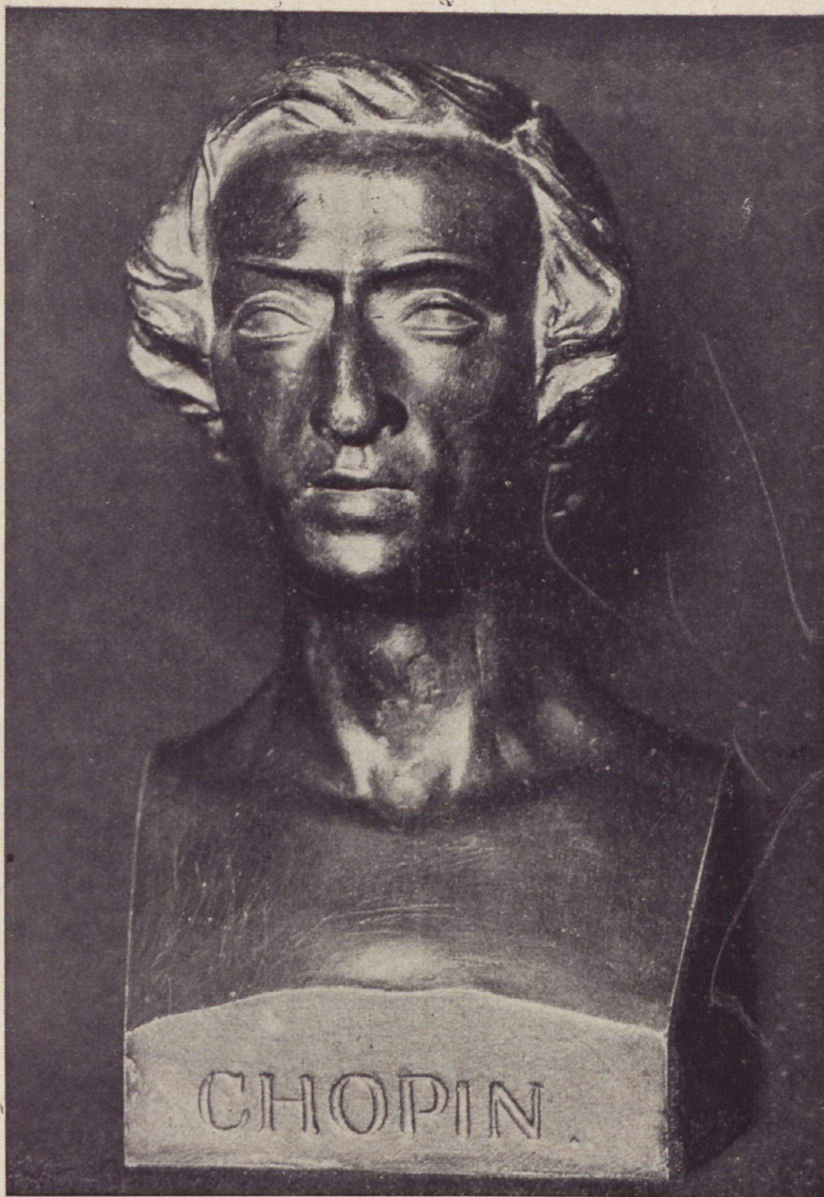
Ze zbiorów Leopolda Binentala

Na szczęście w ciągu tych lat piętnastu wiele się zmieniło na lepsze. Stosunek do Chopina stał się i u nas bardziej żywy, bliski — a zasługa w tem niemała jednego z najbardziej aktywnych chopinologów polskich, Leopolda Binentala.

Wydana przez niego w roku 1930 praca *„Chopin — dokumenty i pamiątki"* — wzbudziła ogromne zainteresowanie przez bogactwo

zgromadzonego materjału, przeważnie nigdzie nie opublikowanego, oraz przez niezwykle sumienne, głębokie i trafne studja nad tym materjałem. Praca ta zresztą w dwa lata później ukazała się w wydaniu niemieckiem u Breitkopfa— to chyba wystarcza dla określenia jej poziomu. (Nadmieniam o tem dla tych licznych u nas „niewiernych", dla których dopiero stempel zagraniczny przedstawia wartość).

Nie spocząwszy na laurach, Leopold Binental opracował następnie po francusku życiorys Chopina —wydany w roku 1934 przez Riedera w Paryżu. Jest to nietylko świetna biografja, pogłębiona przez pełne wniknięcie w ducha twórczości Chopina; jest to pozatem wspaniała, najwyższego gatunku propaganda kulturalna, niezbicie stwierdzająca polskość Chopina, którą przecież nieprzyjazne nam czynniki chętnie na terenie międzynarodowym usiłowały doniedawna podawać w wątpliwość. Po dziele Binentala wątpliwość taką wyrazić by mogli już tylko — ignoranci. I na tem polega ogromna zasługa polskiego chopinologa na terenie międzynarodowym. (Znów nadmienić muszę, że po tem dziele Leopold Binental został laureatem Akademji Francuskiej).



Biust Chopina z r. 1841 dłuta francuskiego rzeźbiarza Dantan'a

Ze zbiorów Leopolda Binentala

Nie wystarczała jednak praca o Chopinie nawet najświetniejsza, przeznaczona jedynie dla obcych. Oczekiwaliśmy od lat paru nowego dzieła Binentala — opracowania życiorysu Chopina po polsku, życiorysu w formie i rozmiarach przystępnego dla najszerszych sfer czytelników. Praca ta ukazała się obecnie. Odpowiada ona ze wszechmiar swemu założeniu. Tekst zwięzły a pełen treści zamyka na stu trzydziestu stronach najistotniejsze wiadomości o życiu człowieka, który był nietylko genjalnym twórcą — (dopiero teraz dorastamy do zrozumienia całej jego wielkości i niezwykłości w znaczeniu czysto muzycznem) — był jeszcze fascynującą indywidualnością, której bliższe poznanie konieczne jest nawet dla zrozumienia, jak trzeba interpretować jego dzieła.

Binental w swej pracy w sposób niezawodny uwypuklił pewne cechy charakteru i usposobienia Chopina, unicestwiając raz na zawsze dawniejsze błędne legendy o jego czułostkowości, usposobieniu „romantycznem", etc.. Ukazał czytelnikowi postać miary oczywiście nadludzkiej — młodzieńca, który już w konserwatorjum uzyskał sobie opinję „szczególnej zdatności, genjusza muzycznego", którego twórczość, zaczęta w latach dziecięcych, wprawiała w podziw najwybitniejszych muzyków Europy. Binental bynajmniej jednak nie robi z Chopina martwego posągu wielkości—nie petryfikuje go— nie oddala od nas. Przeciwnie — całą niezwykłość zjawiska, któremu na imię Chopin, ukazuje w zbliżeniu, żywo, na świetnie podmalowanem tle epoki oraz na tle wypadków z życia codziennego Chopina. Odnajdujemy więc nietylko twórcę o zasięgu najpowszechniejszym, jakiego Polska posiadała kiedykolwiek — twórcę miary wszechświatowej. Odnajdujemy tu zarazem — co dla wielu może być niespodzianką — człowieka jak najbardziej „ludzkiego", prostego, pełnego najczulszej miłości dla rodziny, pełnego niezwykłej wrażliwości, ale i ciętego, zdrowego hu-



Ludwika Jędrzejewiczowa, siostra Chopina

(dagerotyp wykonany w Paryżu w czasie ostatnich miesięcy życia Chopina

Ze zbiorów Laury Ciechomskiej

moru. Wszelka łzawość i rzekoma duchowa „chorowitość" Chopina, którą poprzednie generacje uważały niemal za dogmat (mylnie je wydedukowawszy z fizycznych niedomagań twórcy) — wszelki ten hypotetyczny dekadentyzm Chopina ustąpił miejsca w biografji Binentala zgoła innym istotnym cechom indywidualności twórcy mazurków, uwydatnionym zawsze na podstawie autentycznych dokumentów, a nie dowolnych pogłosek „naocznych świadków". Binental bowiem zupełnie słusznie wypowiada się w swej przedmowie przeciwko wszelkim *„les on dit"*, którym odmawia prawa głosu w poważnych pracach biograficznych.

Opierając swój portret psychologiczny Chopina nie na legendach i tradycyjnych plotkach, lecz na materjale autentycznym — przeważnie na listach — zajął Binental naukowe stanowisko, obowiązujące nowoczesnego historyka. Ale nie wystarczyłoby to jeszcze dla stworzenia żywej pociągającej biografji. Autor życiorysu Chopina łączy jednak w sobie wiele innych, potrzebnych tu właściwości: wysoką kulturę muzyczną zdobytą w Paryżu, logiczne i ścisłe ujęcie spraw, które wyniósł ze studjów prawniczych — (trzeba mu to raz „wypomnieć") — głębokie ujęcie psychologiczne portretowanej postaci, które zawdzięcza swej wrażliwości artysty, wreszcie obrazowość i jędrność stylu, co jest już sprawą talentu.

Nic dziwnego, że z połączenia tych zalet powstała praca wartości nieprzeciętnej. Życiorys ten łączy w sposób ujmujący głębokość i popularność, ścisłość historyczną i barwność opisu, rzeczowość — i umiłowanie portretowanej postaci. To też książka Binentala powinna znaleźć się nietylko w każdym polskim kulturalnym domu, ale i we wszystkich naszych bibljotekach szkolnych, aby już nietylko w Rzymie ale i w Polsce piętnastoletnie dzieci ze zrozumieniem i wzruszeniem wymawiały nazwisko Chopina.

Praca Leopolda Binentala wydana została nader starannie. Bardzo przyjemną, pełną wytwornej prostoty okładkę skomponowała Krystyna Binental. Dwadzieścia kilka doskonale wykonanych ilustracji poza tekstem zdobi książkę. Są to przeważnie rzeczy publikowane po raz pierwszy. Większość z pośród nich — to niezwykłej wartości dokumenty: dość wymienić facsimile pełnego autografu poloneza A-dur, podobizny listów Chopina, G. Sand, Mickiewicza, etc.

Z. Norblin-Chrzanowska.

Jeśliby trzeba było dla otrzymania
paszportu, dowodów urzędowych,
masz tu paszport Gutta Ruski
i Niemiecki, tylko bez Toskan
nie załatwisz go. Działalności twojej
polecam się, życzliwy prześladowca
A. Mickiewicz.

Podobizna autografu listu Mickiewicza, prawdopodobnie do Chopina
(Ze zbiorów Laury Ciechomskiej)
Wszystkie ilustracje nin. artykułu bochodzą z książki L. Binen'ala „Chopin"

R. DALBOROWA

SPRAWOZDANIE Z WYSTAWY „PIES i JEGO PANI"

KRÓTKI REPORTAŻ NAPISANY PRZEZ P. FIGUSIĘ RATLERSKĄ

Zwiedziłam Wystawę pod hasłem „Pies i Jego Pani", w towarzystwie Fifi Buldożki i Buby Spaniolki. Obydwie znane szerokim kołom towarzyskim, ze wszystkich kawiarni warszawskich, były najlepiej poinformowane o tajnikach tej przemiłej imprezy. Obydwie też były, raczej z zasady niż z przekonania, przeciwne tej wystawie, jako czynne członkinie „Towarzystwa Ochrony nad Kobietami".

Odrazu przy wejściu Fifi trąciła łokciem Bubę „popatrz-no, Lala ośmieliła się wziąć udział w Wystawie spójrz na ten okaz!"

W dużej klatce wyłożonej błękitnym crêpe-satin siedziała piękna pani w różowej toalecie, przy niej miseczka z czekoladą, parę keksów, puder i pomadka do ust. Fifi Buldożka trzęsła się wprost z oburzenia „to powinno być przez „jury" zabronione, spójrz tylko na te kudły sztucznie rurkowane i porównaj z pięknymi falami twoich uszów, a ta mordka cała usmarowana na wszystkie kolory tęczy! Przecież ona ma szafirowe powieki, amarantowe policzki, czerwone usta, czarna farba na brwiach, żółta na włosach, pazury karminowe, istna kakofonia! To by trzeba wykąpać, wyszczotkować, wyczesać, odpchlić i wtedy dopiero dać na wystawę, co tu można powiedzieć, czy to rasowe, czy nie, jak wszystko jest namalowane. Tu nie ma mowy o rasie, tu jest farba". Buba Spaniolka pokiwała głową pobłażliwie: „moja droga nie masz się co denerwować, to szkodzi na cerę i cieknie ci piana z ust, chodźmy lepiej dalej, widzę wspaniały egzemplarz".

Stanęły przed klatką zaciasną jak na ogrom zamkniętego w niej ciała. Olbrzymia tęga pani o szerokiej twarzy, szerokich ustach i jeszcze szerszym nosie. Buba mlasnęła językiem z zachwytu: „Fifi czy widzisz co za cudo? Przyjrzyj się tylko tym fałdom na karku, a te małe ślepka ginące w zwałach tłuszczu, cóż za wspaniały typ, napewno dostanie pierwszą nagrodę. Wiesz, nie chcę ci prawić komplementów, ale widzę podobieństwo do ciebie". Fifi Buldożka zamachała skromnie ogonkiem. „Jeżeliś już taka łaskawa, to muszę ci się przyznać, że mi proponowali rok temu, abym stanęła do konkursu piękności, przepowiadali mi nawet możliwość zostania miss Europą". „No i co?" zainteresowała się niechętnie Buba. „Rozumie się, że odmówiłam, to by jednak było poniżej mojej godności". „Masz rację, odpowiedziała Buba. W naszej sferze to nie do pomyślenia, jak się jest na pewnym poziomie intelektualnym, to obowiązuje. Ale popatrz, popatrz, coś ohydnego: wystawili matkę z małymi".

W klatce zupełnie nieudekorowanej na prostym materacu siedziała ładna młoda kobieta z trojgiem dzieci, z których jedno karmiła. Fifi wytrzeszczyła oczy. „No wiesz to już bezczelność. Jak takie biedactwo musi się denerwować. Jeszcze jest blada po niedawnych przejściach i napewno boi się o swoje małe, że jej zabiorą. A tutaj musi być narażona na widok tylu obcych". Buba Spaniolka odwróciła oczy ze wstrętem. „Cóż chcesz Fifuchno. Snobizm nie zna hamulca, to małe może jest bardzo rasowe, tak mi się wydaje, ale narażać dlatego na takie przykrości matkę i jej dzieci! — Zobaczno jak wygląda to biedactwo. Jestem przekonana, że to Nuna Pinczerka wystawiła swoje cudo niedawno ofiarowane jej przez amanta. Jak to się trzęsie, jak to się boi, takie młode, przyzwyczajone do puchów, dywanów, do ciepła, a tu siedzi na tej jednej poduszczynie w tych przeciągach i w samotności, czego najwięcej nie znosi".

W tym momencie Fifa Buldożka popędziła jak strzała na drugi koniec wystawy, wyczuła swoim ludzkim węchem, że dzieje się jakiś skandal. Buba Spaniolka obciągnęła swój modny płaszczyk lila, wcięty w pasie, lekko skloszowany na biodrach i podążyła z wrodzoną sobie dystynkcją za przyjaciółką.

Rzeczywiście był skandal nielada: jeden okaz został wystawiony przez swoją właścicielkę, w łóżku, w ażurach, w uśmiechach, w niedosłonięciach i odsłonięciach, jednym słowem prowokująco. W momencie, gdy przyjaciółki spotkały się przy klatce, stała tam już p. Halina S. z żeńską policją obyczajową. Protokół, uwagi otoczenia, masę dogów, wyżłów i innych starszych panów. Skandal pierwszej klasy. Obydwie panie z wypiekami na twarzach wytrwały dzielnie od początku do końca awantury. Tutaj dopiero obudził się humanitaryzm, pardon „canitaryzm" w „jury", które objekt zgorszenia usunęło z terenu wystawy.

Wystawa była duża, znakomicie obesłana, lecz niezmiernie męcząca dla zwiedzających. Klatki ustawione ciasno przy sobie, pozwalały okazom obszczekiwać się zajadle. Do wzmożenia nużącego hałasu przyczyniły się i osoby wystawiające. Wystrojone w najmodniejsze szeleczki, obróżki, płaszcze i kokardki, podniecone, rozflirtowane, kokietujące jury, popisujące się przed publicznością na równi z wystawionymi przez siebie egzemplarzami, roztrzepotane i roześmiane tworzyły przyznaję, harmonię poziomu tych w klatkach i tych za klatkami, ale atmosfera była nadmiernie głośna.

Kierując się do drzwi wyjściowych spotkały przyjaciółki państwa Kikimertostwa Pekińskich, idących pod rękę w wyjątkowej i niespotykanej u tej pary zgodzie. Buba nachyliła się do ucha Fifi. „Pekińscy tutaj! Założę się, że wystawili swoją Dalborową". „Bój się Boga, to stare pudło! Chyba mają już kogoś innego?". „Ależ nie, spójrz tam na prawo — siedzi!" „No wiesz, ale to odwaga, chociaż, ostatecznie, to nie jest konkurs piękności z ograniczeniem lat, tu chodzi o rasę". „O rasę? A więc tym bardziej. Widziałaś jej tylne łapy, a brak bielma na jednym oku? To zwykły mieszaniec, pospolity kundel. Zresztą i wiek musi być ograniczony, a ona już siwieje przy pysku".

Dla niewiadomych powodów zrobiło mi się niemiło. Uścisnęłam dłonie Fifi Buldożki i Buby Spaniolki po czym szybko opuściłam wystawę.

T. GAUCHER

„MADRYT STRACONY! MADRYT ODZYSKANY!"

(Korespondencja własna z Hiszpanji)



Pobojowisko bod Madrytem, na drodze browadzącej do Walencji

Wśród śniegu i deszczu zaczęła się piorunująca ofensywa gen. Franco na Madryt. Ofensywa świetnie przygotowana i taktycznie znakomicie przeprowadzona. Od 2-go do 6-go marca sztab powstańczy w Salamance opracowywał swój plan i dokonywał przegrupowania wojsk. Tajemnica była zachowana tak ściśle, że obrońca Madrytu generał Miaja został wprowadzony w błąd, a jego wywiad sygnalizował ewentualny atak od strony Jaramy. Tam, jak go informowano miały przybyć posiłki w sile 25.000 ludzi. To też obrona rządowa koncentrowała się w miejscowościach Arganda Morata i Perales.

Ofensywa istotnie rozpoczęła się 8-go marca, ale zupełnie w innym punkcie, a mianowicie od strony północno - zachodniej na drogę ku Guadalajera. Temu należy przypisać w znacznym stopniu powodzenie armji powstańczej. Narodowcy szli nietylko z furją, nietylko wsparci wspaniałym ekwipunkiem technicznym, nietylko to ich wspomagało, szli i *bili nieprzygotowanych*. Wprawdzie rowy strzeleckie, okopy, zasieki formowały bardzo głęboką linję obronną, ale ani liczbowo ani moralnie obrońcy tego odcinka nie byli przygotowani na zetknięcie się z centrum natarcia. Nie mogli odeprzeć centrum ofensywy Pierwsze uderzenie szturmowe „przyniosło" armji gen. Franco posunięcie się naprzód o 15 kilometrów. Nieprawdopodobna ulewa zahamowała atak na parę godzin. Ta przerwa dała możność rządowcom ochłonąć i zorganizować opór. Mimo to nazajutrz ofensywę podjęto i to podjęto z dobrym skutkiem. Zdobyto Valfermoso, Utande, Valdearenas i zbliżono się w tym punkcie o 40 kilometrów do Madrytu.

Ataki nacjonalistów szły do pewnego stopnia falami. Po szturmach i skokach naprzód, następowało krótkie zahamowanie w impecie. W tym momencie rozpoczynała swą huraganową pracę ciężka artylerja, intensyfikując swój ogień, którym podtrzymywała szturm poprzednio. Atakujący nabierali jakby oddechu do nowego natarcia i po paru godzinach znów parli naprzód. Ze strony rządowców walka była zażarta. Pułki międzynarodowe walczyły w niektórych punktach jak lwy, cofając się piędź po piędzi.

Mimo ich waleczności narodowcy zmogli opór obrońców Madrytu.

Straty po obu stronach były ciężkie. Tak zginął niemal wycięty w pień bataljon komunistyczny „Czerwone Lwy", uformowany przez syndykat kelnerów kawiarnianych. Bataljon. „Czerwone Alikante" ocalał zaledwie w połowie. W jednym tylko punkcie legło w okopie przeszło 400 milicjantów, w innym panika wkradła się do szeregów rządowych i milicjanci zaczęli przechodzić na stronę armji gen. Franco. Byli to przeważnie milicjanci — hiszpanie. Naogół jednak rywalizacja odwagi była po obu stronach. Najcharakterystyczniejszym momentem tych walk było wkroczenie kawalerji. a raczej jej wspaniała szarża.

Gdy piechota szła na piechotę, tanki darły się na tanki, znalazło się miejsce i dla kawalerji. A dwie szarże marokańczyków w Massegoso i Agencilla przypomniały czasy najtypowszych szarż i wielkich wyczynów kawalerji. Gdy rozległy się pobudki, to jeszcze nie przebrzmiał dźwięk trąbek — już błysły w górze szable i szwadrony marokańskie runęły naprzód. Wielkie białe, niebieskie i czerwone burnusy podszyte zielono rozpostarły się na wietrze jak fantastyczne skrzydła. Zwięzłe, ale drobne konie arabskie, rozumiejąc swe zadanie, z miejsca rozwinęły zawrotną szybkość, to tu, to tam, pokwikując dla fantazji. Wspaniałe szarże wykonane w tym tempie, dały poważne rezultaty. Jeźdźcy wpadli z impetem. Siekli jak djabły, wcinając się od flanki głęboko w linje obronne. Z okrzykiem „Viva Espana" rwali naprzód, a za nimi z tym samym o-



Całe rodziny uciekinierów po ostatniej ofensywie na autokarach chroniły się do Walencji

krzykiem pędziła piechota marokańska, zniecierpliwiona długą poprzednią bezczynnością! Śmiało można powiedzieć, że w dniu tym rywalizowali ze sobą wszyscy. Okrzyk „Eviva Espana" unosił się jak rozwiany sztandar nad armją regularną, falangistami, legją cudzoziemską, i marokańczykami. Szli naprzód! Szli z tym okrzykiem żołnierze armji generałów Varela i Orgaz'a — a w ich ustach okrzyk: „Madryt stracony!" jakim witali w zwarciu oddziały rządowe, oznaczał jednocześnie „Madryt odzyskany!"



Podczas ostatniego bombardowania silnie ucierpiał pałac księcia Alby. Dzieła sztuki, które zdołano ocalić,— przewieziono do Muzeum Narodowego. Na fotografii naszej, w antycznej karocy rodziny d'Alba rozsiadł się czerwony milicjant

Ale nagle niemal niespodziewanie po paru dniach powodzenia, po znakomitym posunięciu się naprzód ofensywa stanęła. Utknięto! Pomimo tak wielkich szans Madryt nie został odzyskany. Ulewy, burze wichrowe przeszkadzały natarciu i błyskawiczności akcji, czym zazwyczaj wygrywały wojska gen. Franco.

Czemu utknęła ofenzywa—trudniej jest czasem ocenić w bliskości frontu, niż będąc w odległości. Ale podstawową przyczynę znamy stale. Oto liczbowo obie armje są niemal równe. Jest to minus oblegających atakujących. Wszystkie więc powodzenia, wszystkie sukcesy zawdzięczają narodowcy lepszej taktyce. Błyskawiczności natarć. Odwadze i zapałowi. Gdy uderzenie napadających tak zdemoralizuje oddziały czerwonych, że widząc, iż wszystko stracone, rzucają się do ucieczki na widok patrolu, lub przechodzą częściowo na stronę oblegających — to wówczas liczby nie grają roli. Ale gdy natarcie spotyka na drodze oddziały, które widząc, że wszystko stracone, kontratakują z rozpaczą determinacji, widząc w bagnetach jedyny ratunek, przed zamknięciem się żelaznego pierścienia, wówczas nawet zwycięska ofensywa może stanąć i załamać się.



Piąty bataljon szturmowej brygady chłopskiej posiada „Maskotę" w osobie krzepkiej dziewczyny wiejskiej

W każdym razie można stwierdzić, że kontratak nastąpił po proklamacji gen. Miaja, który niewiele miał do ukrywania, gdy mówiąc o cofnięciu się na „upatrzone" pozycje, nie bez goryczy przyznał, że „byłoby trudno ukrywać, iż nieprzyjaciel jest u wrót Madrytu!"

U wrót Madrytu ze świadomością możliwości odcięcia dróg odwrotu brygady międzynarodowe, choćby nie chciały, muszą walczyć jak lwy, bo wiedzą, co je czeka, gdyby walczyły źle. Tak, jak znali swój los ci wzięci do niewoli „komisarze cywilni", których ustanowiono przy każdym bataljonie. Wzorem komisarzy bolszewickich sprawują oni nadzór nad stroną moralną nad prawowiernością i bojową ofiarnością żołnierzy. Po cywilnemu z chustką cache - colem czarno - czerwoną na szyi i z takąż kokardą na ramieniu wpadło ich kilku, przy zdobytych tankach sowieckich w ręce armji Franca. Znali część proklamacji gen. Franco, wiedzieli co ich czeka, jako władzę cywilno - polityczną nad żołnierzami. Los swój ci anarcho - komuniści przyjęli z rezygnacją, odważnie. Ich obecność jednak stwierdza, jak ciężko jest utrzymać poziom ducha w obleganej armji. Ich obecność, tych obywateli z czarno - czerwonym emblematem, niewątpliwie wpłynęła na powstrzymanie ofensywy, na kontrataki — ale czy to na długo jeszcze wystarczy?



W Maroku Hiszpańskim organizowani są młodzi falangiści na wzór włoskich „balilla"



Sule-pagoda

H. KOROLEC-BUJAKOWSKA

W KRĄG SWE-DAGON PAGODY

(Korespondencja własna z Burmy)

Gaspar Balbi i Mandez Pinto, a za nimi w te same nieomal słowa Sir Archibald Campbel, w swych pamiętnikach z pierwszej wojny Burma Contra West-India Company tak mniej więcej opisują Rangoon, obecną stolicę angielskiej Burmy:

„Było to bezładne zbiorowisko chat z bambusu, rozrzuconych nad rzeką, oraz prywatnych świątyń i klasztorów buddyjskich, zgrupowanych u stóp Sve Dagon pagody".

Sve Dagon pagoda nawet stała kilka mil za miastem, jak mówi generał, i była świetnym fortem dla anglików, którzy wykorzystując wzniesienie na sto sześćdziesiąt osiem stóp, dominowali nad całym terenem, prażąc ogniem z rusznic i armat na wszystkie strony świata.

Centrum właściwego miasta otoczone drewnianym płotem zamiast murów obronnych. Czyż nie rzewnie. Mury miasta z czasów ciosanej kłody. W ich wnętrzu smród i brud był straszliwy. W noc ciemną łuczywem pewnie świecili w razie potrzeby, a ta zdarzała się dosyć rzadko, bo przecież dwanaście godzin światła słonecznego wystarczy.

Monsoon był straszliwy. Błoto nie do przebycia na ulicach. Jak dzisiaj wyłącznie w najbiedniejszych dzielnicach. Wtedy wszędzie świnie chodziły, żerując w odpadkach i nieczystościach wszelkich, leżących stertami. W nocy wyły parszywe psy. Było bardzo nastrojowo i smród okropny dla angielskiego nosa, nawet w dzielnicy pałaców i świątyń.

Handlowa dzielnica mieściła się w Dala po drugiej stronie Hlaing rzeki.

Za czasów Gaspara Balbi i Mendeza Pinto Rangoon nawet nie nazywał się Rangoonem, a Dagon Yangoon, koniec wojny jak mówią jedni, koniec świata, jak mówią drudzy. Dostał swe imię obecne od Alanungpyaya po zwycięskiej wojnie z plemieniem Talaing, albo Mon.

Druga wersja o końcu świata też jest z tą wojną związana. Mówią, że gdy Alaungypaya zagnał swych wrogów na brzeg morski, wojna się skończyła i ląd. A że król nie wiedział co jest za tą wodą, końcem świata nazywał obecny Rangoon. Było to w osiemnastym wieku.

Dzisiaj Rangoon nie końcem świata, a oknem na świat nazywać można. Jedynem wyjściem z Cul de Sac niedostępnej od lądu Burmy.

Od wieków istnieje w tym kraju zwyczaj: nowy król — nowa stolica. Każdy z nich musiał wybudować nowe miasto, pałac, świątynie. Dwór się z królem przenosił, jak ostatnio, gdy król Mindonmin z Amarapura przeniósł stolicę do Mandali, była to cała wędrówka narodów.

A co robiło się ze starą stolicą? Burzyło się, albo w najlepszym wypadku opuszczało na łaskę losu. Tak Pagan zajęła dżungla, wdzierając się na wspaniałe ruiny świątyń, Awa znaleźć trudno na mapie, Pegu jest małą mieściną, a Mandalay żyje prowincjonalnem życiem zapadłego kąta.

Anglicy poszli w ślady królów burmeńskich. Po pierwszej wojnie założyli stolicę w Mulmein, a po trzeciej z Rangoonu stworzyli miasto.

Z Dagon Yangoonu pozostała jedynie Sve Dagon pagoda, Sule Pagoda, błękitne jeziora królewskie i Hlaing, dziewiąta odnoga delty Irrawaddy, rzeka Rangoonu i jego port.

To pozostało niezmienione, zawsze piękne, — nawet gdy do świętych wrót pagody między białemi smokami podchodzi czerwony, pękaty tramwaj, gdy brodaty policjant w granatowym mundurze z purpurową wstęgą przez turban, rozkrzyżuje ręce, zatrzyma cały ruch pędzących samochodów, smoki nie dziwią się. Widziały już wiele.

Ale takiego porządku, czystości i asfaltów nigdy nie zaznały — i nigdy nie miały tak wspaniałego oświetlenia. Przydała się elektryczność do wytworzenia feerycznej dekoracji starych świątyń buddyjskich. Gdy w nocy Sve Dagon zabłyśnie w białym świetle reflektorów, rzuconych od dołu, zda się jak słońce zawisać blaskiem na aksamitnem tle nocy.



Brodaty policjant rozkrzyżował ręce

Gdzie dzisiaj w ogrodach kryje się bungalow, dawniej było całe miasto prywatnych świątyń i monastyrów. Budowane z drzewa, z cegły bielonej, jedno przy drugiem, nieomal jedno na drugiem, bezładnie stłoczona kupa, jak grzyby. Ponad tem zbiorowiskiem królowała złota Sve Dagon, wysmukła, najwyższa i najświętsza. Przecież w niej są ukryte cztery relikwie wielkiego Buddhy (Mnushi) człowieka boga, kubek Kraku Chandra (Kawkathan), szata Gawnagonga (Kanka Muni), kij czy berło Kathapa (Kasyapa), i osiem włosów Gauthamy. Każde podanie co prawda zmienia czyje to były włosy, kubek, szata, ale niezmiennie te cztery święte przedmioty stanowią relikwie, zamknięte w złotej stupie.

Co prawda stupa nie jest szczero-złotą jak chce wmówić pundżi, ale potężną budową z cegły, wznoszącą się na sto dwadzieścia metrów conajmniej ponad miastem całem. Widać ją zewsząd, z morza, z lądu. Wielokrotnie złocona, przezłacana po ostatniem trzęsieniu ziemi trzy lata temu dostała nową parasolkę z dzwoneczkami, teraz szczero-złotą i pokryto ją złotemi blachami.

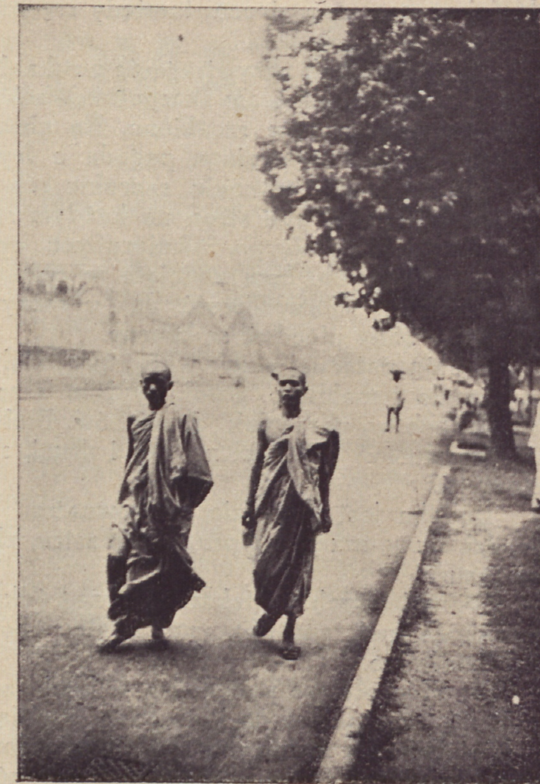
Pewna polska turystka uparła się zwiedzić Sve Dagon wewnątrz. Nic, że anglicy uprzedzali, iż do wnętrza wejść można tylko boso i żaden europejczyk tam nie wchodzi. Trąd, parszywe psy i inne święte nieczystości. Jedynie amerykanki biegają zwiedzać to tajemnicze wnętrze.

Nie możliwe. W całych Indjach w świątyniach hindu i buddyjskich wystarczy zdjąć obuwie, a jedną parę skarpetek poświęcić można. Zresztą karmiła święte żółwie w świętych stawach i nikt tam butów zdejmować nie kazał.

Zawarła znajomość z uczonym pundżi w szafranowej szacie, wyłuskała go z pobliskiego monastyru pundżi-czongu rozrzuconego w cieniu ogrodu. Straszne to miejsce w nocy. Nóż świętego pundżi jest równie ostry, jak nóż bandyty i bezkarny, a któż go znajdzie? nie brodaty policjant pendżabi, — brat brata nie wyda.



U wrót Sve-Dagon



Pundżi

Zaczęła romowę z uczonym pundżi o historji Burmy. Pyta o imiona królów i daty. Pundżi sam dobrze nie wie. On lepiej zna bajki burmeńskie. Chce zwiedzić świątynię. Pundżi po kilku rozmowach czuje się zaszczycony, że zna tak mądrą cudzoziemkę, interesującą się jego krajem i jego wiarą. Sam ofiaruje swe światłe przewodnictwo.

Zamotany opowiadaniem o Buddha Gaya, Sarnah, Ajancie, patrzy na nią trochę jak na pundżi przybyłego ze świętej wędrówki po kraju księcia Sinhartha. Bez kwestji skarpety będzie można zachować na nogach.

Zbliżamy się do pierwszych wrót. Pozostały z nich dwa smoki jedynie, zgubione w ulicznym ruchu. Na murawie łączki biały odrapany budynek w formie stupy. Bez napisu i złota. To grobowiec ostatniej królowej. Nędzny, chociaż podobno i to dobre, bo w Burmie trudno znaleźć grób, lub jego miejsce. Nie znaczą grobów, a umarłych najczęściej palą.

Wchodzę do wnętrza jednej z wielu ongiś prywatnych świątyń, w skarpetkach oczywiście. Gipsowy posąg na całą świątynię, a przed nim pochód modlitewny alabastrowych potworków pundżi, dziewczęta kucnięte ze sztywnemi kwiatami lotosu w ręku. Tu jest pusto, nikt nawet nie wchodzi.

Wrota świątyni. Jest ich aż cztery, w cztery strony świata. Podchodzimy od miasta południowemi. Siedzi paru przekupni z koszami, włóczy się stado psów parszywych, dekoracja zachęcająca dla bosonogich turystów. U tych wrót rzeźbionych w misterne koronki ze złoconego drzewa, wyrosło kilka golonych łbów. Ze złowrogim pomrukiem przebiegli. Pundżi przewodnik chytrze od wschodu zachodzi.

Mniej uczęszczana strona, tamtędy się uda napewno. Próbujmy.

Jakiś staruszek przy straganie mruknął pod nosem groźnie, patrząc na białe skarpetki. Wschodnie wrota również kunsztownie rzeźbione. Na ciężkiej kolumnadzie wsparta drewniana pagoda o frywolnie wygiętych dachach i wysokie, szerokie schody w głąb. Jakże brudne. Z obu stron na każdym stopniu stragan. Psy włóczą się po zaśmieconych, oplutych płytach kamiennych. Śpią zwinięte w różowe bezszerstne kłębki. Obrzydliwość. Już u szczytu schodów skarpety białe niegdyś, są czarne.

U stóp potężnej stupy wkrąg przytuliły się mniejsze, małe i malutkie. Smoki wyłażą z za powyginanych dachów, parasolek, dzwonków. Biało-czarne flizy marmurów, chodniki z maty i drugi, szerszy krąg świątyń.

Buddha jest wszędzie na zewnątrz. Leży, stoi, siedzi, duży, mały, z gipsu, z alabastru, złota, srebra, bronzu.

W mniejszych i większych przegródkach ołtarzy, ubranych kwiatami ofiar, modlą się pobożni. To jest bardzo ładne.

Do stóp ołtarza podchodzą w kucki ze złożonemi rękami, albo pełzną na klęczkach. Padają na kolana, przysiadają jak senne dzieci przy wieczornym pacierzu i na złożone ręce, wyciągnięte na przód, na twarz biją pokłony. Tak się modlą i tak witają. W Burmie witali tak za królewskich czasów. Dziś są zbyt hardzi. Ale w krajach wzgórz, gdzie jeszcze trucizna kultury zachodu nie przeżarła dziecinnej duszy dzikusa, każdy Thai padnie przed tobą na kolana i wybije parę pokłonów na dzieńdobry.

Z boku skromnie przytulona do innych. świątynia jak cacko. Stylizowane kwiaty ze złoconego drzewa, parasolki dzwoneczków, posąg Buddhy z bronzu. Pundżi opowiadają legendę o dwuch braciach, synach królewskich. Starszy wystawił to subtelne cudo pierwszy, prosząc Buddhę o władzę i zaszczyty. Wtedy to młodszy brat zbudował Sve Dagon. I mądry bóg uznał dar młodszego brata jako bardziej godny siebie i jemu dał berło i splendor królewski. starszego pozostawiając w cieniu razem z maleńką pagodą.

Do wnętrza kryjącego skarby i relikwje kobieta wejść nie może. Masz babo placek. Poco się było pchać pod stopy tej olbrzymiej stupy.

Z za jakiegoś węgła wybiega policjant świątynny. Zdjąć skarpety. Robi się małe zamieszanie. Tłomaczenie. Ja nie chcę. Pundżi błaga bym zdjęła. Sytuacja bez wyjścia. W pośrodku obejścia stoję, ani iść naprzód, ani się wycofać. Zdejmuję i oto zaczyna się koszmar.

To, co było przed chwilą piękne, zamienia się w oczach w plugawe. Brud. Flizy mokre i lepkie. A te psy. Potrącasz je bosą stopą. Jest ich tysiące. Z całego miasta wszystkie zdychające włóczęgi. Trąd. Przecież tu wszyscy mają trąd. A na stopie rozcięcie do krwi.

Mam oglądać Buddhę ze złota z oczami z rubinów. Nie chcę, nie chcę ani zdjęć, ani zwiedzania wnętrza, tylko co prędzej wyjść i nigdy nie wracać. Za Boga noga moja nie postanie w żadnej burmeńskiej pagodzie, nawet żeby w jej wnętrzu skryły się wszystkie cuda świata. Za dużo poświęcenia dla paru zdjęć prasowych. Wystarczy z zewnątrz, które zawsze w tym kraju jest bardziej efektowne i artystyczne.

Wypadłam z kręgu świątyń na oplute schody. Tam szybko nałożyłam skarpety, zbiegłam w dół, jak opętana. W uszach syczało — trąd — trąd.

Wszystkie środki dezynfekcyjne zastosowane, a jeszcze skóra swędzi z obrzydzenia. Jakoś obeszło się bez trądu na pierwszy raz. Uczonego pundżi pożegnałam oziębłe i wzgardliwie. I dla poprawienia nastroju ruszyliśmy motorem na miasto.

Skrzyżowanie ulic. Nasz przyjaciel policjant salutuje. Ze sklepu za rogiem hindus macha ręką. Jak codzień. Sule pagoda jest złota i wysmukła, jak długoszyje, strojne piękności Padaung, z zewnątrz jakże miła dla oka.

Ruch samochodowy, tramwaje, riksze, wir stołeczny ostatniej stolicy Burmy. Domy naprawdę murowane, wytyczone szerokie ulice i port na Hlaing, ostatniej odnodze mętnej Irrawaddy. Największy port ryżowy na wschodzie. Dzisiaj naprawdę trudno sobie wyobrazić miasteczko Dagon. które zwiedzali Gaspar Balbi i Mendez Pinto, trudno również Yangoon końcem świata nazwać gdy jest jego początkiem i Rangoon, bezładne, brudne miasteczko drewniane z opisów Sir Archibalda Campbela jest nierealne, jak Kopenhaga z „Kaloszy szczęścia", bajki Andersena.

OD REDAKCJI

Do numeru poprzedniego dołączyliśmy jako premjum dla wszystkich naszych prenumeratorów książkę prof. E. Tarlé, p. t. NAPOLEON — WSCHODZĄCE SŁOŃCE

ZMARTWIENIA DYPLOMATÓW

POWIEŚĆ

— Zrobię to panie ministrze. Zaczynam walkę. Może umrę jutro, ale może dopiero za pięćdziesiąt lat. Spotkamy się jeszcze. Ja dopiero rosnę. Dojrzewam. I tak będzie do śmierci. Dlatego zawsze będę młody, i zawsze gotów — zaczynać. Skapituluję dopiero w trumnie, i to względnie. Będę straszył jeszcze z tamtego świata.

Minister śmiał się serdecznie, ale nie z Zima i jego słów, tylko z radości, że jest taki przezorny.

— W każdym razie, panie Kazimierzu, życzę panu powodzenia. Może jeszcze kiedy pański projekt reformy rządu będzie zrealizowany.

— Przykro mi, panie ministrze, że w odczycie nie dość jasno widać wyłożyłem myśl moją, lub że może panu ministrowi coś przeszkodziło w uważnem słuchaniu. My nie dążymy przecież do zmiany rządu, ani osób, nawet do metody wykonywania władzy. Tu chodzi o zupełnie co innego. Żądamy, żeby ustrój społeczny był dostosowany do naturalnych praw, rządzących życiem państwowem, praw, które znamy i na które zracamy uwagę, z tem większym entuzjazmem, że odkrycie ich jest pracą filozofji polskiej. Dzisiejszy ustrój jest niedostosowany do tych praw, bo ich nie znają ci, co piszą prawa. Człowiek nie mający pojęcia o hygienie — ciągle się naraża na chorobę i śmierć nawet, a ten kto zna prawa rządzące ciałem fizycznym — narażania się unika. My chcemy, żeby państwem kierowali ci, którzy prawa te posiedli pracą własnego ducha. Jest to żądanie proste, logiczne i bardzo łagodne, choć przyznaję — bardzo rewolucyjne.

— Otóż to. Rewolucyjne.

— Tak jak rewolucją było szczepienie ospy. Żądamy stosowania surowicy, w swoim rodzaju. I ta surowica będzie szczepiona, panie ministrze.

* * *

— Smutno mi, mój Willy, że się rozstajemy...

— Mam nadzieję, że nie na długo, Casimir.

— Nie wiem...

— Musisz się starać przyjechać do nas najrychlej. Nina będzie czekała na ciebie.

— Czy mówiłeś z nią kiedy o mnie?

— Bardzo często. Kocha cię i bardzo jest do ciebie przywiązana.

— Skoro o tem mowa, mój drogi, to ci powiem, że nie mogę czasem zrozumieć, jak to się wszystko stało.

— Stało się w każdym razie doskonale.

— Nie wiem, czy Nina nie jest wypadkiem pod sugestją — moją w jednym kierunku, a twoją w drugim. Datego rad jestem, że się z nią rozstaniemy na czas jakiś, bo to oddalenie ułoży nasz stosunek uczuciowy, — albo nie ułoży...

— Nie myślę, by tu działała sugestja.

— Działa niewątpliwie. Nie będziemy sobie mówili komplementów, ale przecież zdajesz sobie sprawę, że ty i ja stoimy jednak wobec niej na mocniejszej płaszczyźnie, mamy więc na nią wpływ.

Tak, i dzięki temu udało nam się przerobić ją i jej uczucia.

— Otóż tego się obawiam, czy to trwałe.

— To już będzie poniekąd należało do ciebie. Ja zrobiłem ze swej strony wszystko co mogłem. Będę z tobą szczery, jak zawsze: wiele mnie to kosztowało. Od chwili, gdy się okazało, że jestem jej bratem, wyprułem z siebie wszystkie nici, które mnie z nią wiązały. Całe szczęście, że ona nie była sercowo silnie zaangażowana. Ot, tak sobie. Stała już może na pochyłej, ale wypadki ją zatrzymały.

—Wiem, że musiałeś wiele wycierpieć.

— Głupstwo. Mniejsza o mnie. Szczęśliwy jestem, że wszystko wzięło dobry obrót, że właśnie ty wszedłeś w grę, nie kto inny.

— Ale musisz się otrząsnąć z tego Willy, bo czuję, że została ci jeszcze w duszy jakaś gorycz, po tem przejściu.

— Oczywiście, jakiś osad pozostał, ale czas go rozpuści.

— Rozumiem. Właściwie, to byłoby najlepiej gdybym mógł tu, zaraz, wziąć ślub z Niną, by ci zeszła z oczu. Łatwiej byś zapomniał.

— Jeżeli tak stawiasz kwestję, to cię mogę uspokoić. I jeżeli o to chodziło, to nie namawiałbym cię na rychły przyjazd. Sytuację moją obecną traktuję, jak świetną okazję do nowego zwycięstwa duchowego. Czuję, że otworzyła mi się w mózgu jakaś klapa bezpieczeństwa z powodu tych przeżyć. Przeniosłem się na inną płaszczyznę życia i uczyniłem wielki krok w samostwarzaniu się. To wszystko było potrzebne. Jestem dziś silniejszy. Przed wypadkiem samochodowym było mi ciężko, przyznam się. I nie byłem pewny, co się dzieje w duszy Niny. Ale od przyjazdu ojca wszystko się odmieniło. Staruszek stanął na wysokości zadania. Jest zakochany w Ninie, rozpieszcza ją, jakby ją chciał wynagrodzić za wszystko co było. I ten serdeczny stosunek, jaki się wytworzył między Niną, a jej ojcem i moim ojcem, szalenie ułatwił jej ostateczny zwrot uczuciowy. Ona naprawdę czuje się moją siostrą. Ma bardzo szczęśliwe usposobienie, że żyje dniem dzisiejszym. To pośrednio i mnie pozwoliło przejść lżej koło całej tej sprawy.

— Dziękuję ci, Willy, będę ci wiele zawdzięczał.

— Nie, to ja tobie. A z Niną będziesz bardzo szczęśliwy. Dziś jestem pewny, że gdyby Nina nie była moją siostrą, gdybyśmy byli zostali mężem i żoną — nie znaleźlibyśmy szczęścia. A wy jesteście przeznaczeni dla siebie. Ja to dziś widzę. I ta znów świadomość także mi ułatwia wiele. Ninie również.

— Cieszę się, że tak mówisz. Nina ma istotnie takie właśnie usposobienie, jakie ja lubię.

— Widzisz. A nasze usposobienia się różnią. Stosunek nasz w małżeństwie byłby smutny melancholijny, gdy wasz — widzi się wyraźnie — jest słoneczny, wesoły. A to jest wszystko — w małżeństwie.

— Piękny z ciebie człowiek, mój przyjacielu. I pomyśleć, coby inni „dwaj" w naszej sytuacji piekła narobili.

— Gdyby byli *tylko* ludzmi.

— Dobrze jest być — *aż* człowiekiem.

* * *

Nuncjusza odwołano za niezgłoszenie odczytu do aprobaty kancelarji apostolskiej. Więc herbatka pożegnalna była raczej smutna. Zim, Willy, Nina, Van Cornelius, nuncjusz — wszyscy mieli się rozjechać w ciągu najbliższych dni, więc wszystkim było żal wszystkich opuszczać. Ale świadomość dokonania wielkiego czynu — zdemaskowania starych doktryn, ignorancji przywódców, impotencji i anarchji ustrojowej, ogłoszenia prawd odwiecznych a tak nowych, których poznanie zamieni śmiercionośny piorun w dobroczynną żarówkę, która oświetla ciemności szatańskie, jaśniała w twarzach skupionych powagą chwili.

Jedynie Jan Van Cornelius, obałamucony fikcją, która nad nim panowała od lat, był zafrasowany złym, według jego mniemania, obrotem rzeczy. Uśmiechał się, by nie razić promiennych, choć zatroskanych oczu obecnych, ale odbijał wyrazem niepewności od męskich, jasnych spojrzeń innych.

— Co pan będzie porabiał, panie Willy — pyta nuncjusz. — Pragnąłbym być w korespondencji z panem, i z panem również, panie Kazimierzu. Wprawdzie wracam do Rzymu na stanowisko raczej naukowe, bo ojciec święty powołuje mnie do prac archiwalnych, jednak myślę, że nie stracę kontaktu ze światem politycznym.

Willy spojrzał na Kazimierza, jakby prosząc go o odstąpienie mu pierwszego głosu:

— Jestem tak przemęczony ostatnim rokiem mojego tu pobytu, tyle przeżyć skupiło się razem, że chcę odpocząć. A potem wezmę się do pracy — w dalszym ciągu. Trzeba wytworzyć i u nas środowisko, na którem mógłbym się oprzeć.

Zim mu przerywa. Głośno myśli:

— Jeżeli się chce, żeby się coś stało, trzeba tak postępować, jakby się to już stało. Takie jest rozwiązanie zagadki skutecznego działania. Ja mam zamiar spokojnie przeczekać burzę, z jaką się niewątpliwie spotkam w kraju i wcielić myśl, jaką podświadomie wypowiedział do mnie mój minister.

Już nuncjusz otworzył usta, by coś odpowiedzieć, gdy Nina zwróciła jego uwagę, że ktoś puka do drzwi.

Nuncjusz wstał zaintrygowany, bo przecież służący wchodził do salonu bez pukania, skoro byli goście.

Wtem do uszu obecnych doszedł jakiś dziwny gwar z ulicy. Van Cornelius podszedł do okna. Za nim inni. Nuncjusz, stojąc w drzwiach, żywo rozmawiał z sekretarzem nuncjatury.

Śpiew tłumów, okrzyki...

Manifestacja. Pochód. Transparenty. Za tłumem policja konna i piesza w pogotowiu.

Nina pierwsza zorjentowała się i skakała z radości.

Czerwone sztandary! Ale nie tylko czerwone! Są i narodowe duńskie, czerwone z białym krzyżem.

Nuncjusz kazał szczelnie pozasuwać firanki i rolety.

Skupili się wszyscy u okien i zpoza zasłon czytali napisy na rozpiętych płótnach:

— Precz ze złotem!

— Żądamy takiej emisji pieniędzy, jakiej potrzebuje praca!

— Praca dla wszystkich!

— Żądamy kierowniczej rady gospodarczej!

— Żądamy panowania rozumu w imię celowości państwa!

Jan Van Cornelius zbladł.

— Patrz, Willy, mówi Zim, — przepisali twoje hasła z odczytu.

Nuncjusz zaniepokoił się, bo pochód jakby zwalniał kroku, jakby miał zamiar stanąć przed nuncjaturą.

Ale nie. Zwolniono kroku, bo oddział wojska przeciął ulicę, kierując się w stronę pałacu, gdzie zbierał się kongres.

Pochód był potężny. Tłumy szły karnie, szeregami zwartemi, po 10 osób w linji równej, niemal żołnierskiej.

Van Cornelius stchórzył:

— Willy, Nina, dziś wyjeżdżamy, bo inaczej... To groźne. I pan, panie Zim, powinien pan zaraz wyjechać. Już nas nie chroni immunitet. Gotowi was pociągnąć do odpowiedzialności za wywołanie rozruchów.

Willy zarumienił się za swego ojca.

— Ależ papo, naprzód niema żadnych rozruchów. Jak dotąd — manifestacja jest najspokojniejsza. A że wywołana jest przez zestawienie naszych odczytów z kongresem — to było do przewidzenia.

— To wasze słowa na transparentach...

— No i doskonale, papo, — woła rozgorączkowana Nina. — Słowo staje się ciałem. Prawda, Eminencjo, — niepewnym trochę głosem i z bardzo niepewnem spojrzeniem zwraca się do nuncjusza.

— Trzeba przyznać, że reakcja dość szybka — stwierdza nuncjusz.

Zim obserwuje radośnie, ale ma refleksje.

— Widzi pan — tłumaczy Van Corneliusowi — dlatego my z naszą prawdą nie idziemy w tłum, że ona zawiera w sobie piorunującą siłę wybuchową. Dlatego my działamy odgórnie, drogą uświadomienia szczytów społeczeństwa i sfer rządzących. Tłum jest zawsze nieopanowany i gotów do akcji rewolucyjnej, która jest zaprzeczeniem naszej ideologii. Tłum mógłby ją tylko zdradzić nigdy — pomóc.

— A ot, macie — szczyty, — odpowiada Van Cornelius.

— Nic nie szkodzi. To będzie kropka nad *i* dla kongresu.

Stary się uspokoił, zamyślił się i z niejasnym uśmieszkiem powiada:

— Odgórna metoda — powiada pan. — Bardzo się cieszę. Może i trafna.

I szeptem, do siebie tylko, dodaje:

— Tak jak masoni.

Zim ma dobry słuch.

— Może tylko cel inny.

Van Cornelius zmilczał, ani się nie domyślając, że Zim odczyta jego myśli: —

— Czasem metody łączą...

Zim odpowiedział mu swoją myślą:

— Kto się przyłącza choćby metodą — kapituluje.

Ale Van Cornelius nie miał zdolności czytania myśli.

Zaczęły się telefony z różnych poselstw. Niema żadnych rozruchów. Manifestańci duńscy są grzeczni, jak tresowana szkółka.

Corneliusowie odjechali nazajutrz *incognito*, bo Willy nie chciał, by go odprowadzali koledzy i liczni znajomi. Bilety pożegnalne złożone już były wszystkim, komu należy od paru dni. Wizyty osobom oficjalnym — również.



Padał deszcz, a z oczu Niny kapały łzy.

Zim, wracając z dworca do domu, czuł się chmurnie, ale i górnie.

* * *

Atmosfera kongresu stawała się z dniem każdym nieznośniejszą. Prace w komisjach straciły wszelki impet. Nikt nie wierzył w trwałość zjazdu na dłużej, niż parę tygodni. Zdawano sobie sprawę, że trzy odczyty sparaliżowały inicjatywę, bo każda wydawała się mizernym odruchem łapki zdechłej żaby którą galwanizowano.

Ci, którzy liczyli, że spędzą przyjemnie kilka miesięcy kongresowych wakacji na koszt rządu, klęli Zima, Willy'ego i nuncjusza. Manifestacja tłumu wywarła przygnębiające wrażenie, choć była niezmiernie pokojowa w formie i nie spowodowała żadnych incydentów.

Zim zlikwidował pospiesznie swoje sprawy, przygotowując się do wyjazdu i na kongresie już się nie zjawiał. Minister ze swoim sztabem sam sobie dawał rady. Doria rej wodził i tryumfował. Zima to szalenie bawiło.

Bawiło go też, że Sullivan więcej się do niego nie odezwał. Miał kłopoty. Nadeszły bowiem telegramy, że jakiś zwarjowany potomek inkasów rzucił w jego kraju hasło odbudowania imperjum dawnych posiadaczy zachodnich kontynentów.

Odwiedził Zima jakiś dziennikarz chiński. Chciał mieć z nim wywiad.

— Na co panu wywiad ze mną! Ja już jestem tylko prywatnym człowiekiem.

— Właśnie dlatego.

— Więc co pana interesuje?

— Co pan myśli o kongresie?

— Ależ panie, na to nie mogę panu odpowiedzieć.

— Koniec Europy, prawda? — wytrzeszczył fatalne zęby żółtawy człowiek.

— Gruntownie się pan myli. Europa nigdy się nie skończy. Kończy się tylko jedna era naszej cywilizacji, a zaczyna się druga.

— Zacznie się, o ile Europa przyjmie pański projekt reformy.

— Był pan na moim odczycie?

— O, byłem, oczywiście.

—No to się pan przesłyszał. Niech pan przeczyta stenogram. Ja nie dawałem żadnych projektów. Wyłożyłem jedynie prawa, rządzące dziejami ludzkości, do których trzeba się stosować, tak jak się trzeba stosować do praw wody i nie siadać na tratwę żelazną, tylko drewnianą. Niechże się pan sprobuje nie stosować do prawa ciążenia i niech pan sprobuje wzlecieć balonem z ołowiu.

— A jeżeli tych praw rządy nie uznają?

— Jak je zrozumieją, to uznają. Może na tem polega siła cywilizacji europejskiej, że my możemy się mylić i nawet bardzo długo tkwić w błędach, ale ostatecznie dochodzimy do prawdy, poznajemy prawa losów świata i obracamy te prawa na swój pożytek i to w sposób nieoczekiwany. Więc na prawie ciążenia oparliśmy bieg najszybszych pociągów. A piorun, czyli elektryczność, którego długo baliśmy się panicznie, zaprzęgliśmy do tramwaju, wyprzęgłszy konia, tym samym piorunem możemy ogrzewać i zamrażać, a prócz tego jeszcze leczyć. Tak samo będzie w Europie ze wszystkiem. Ginęliśmy od rewolucji lewicy przeciwko prawicy i odwrotnie, a teraz i z jednej i drugiej wyciągniemy pierwiastki twórcze i stworzymy harmonijny koncert. Giniemy w niewoli złota, ale gdy się przekonamy, że nie złoto tworzy bogactwa tylko praca, to ze złota zbudujemy most zgody, jak wyście zbudowali ze złota świątynię w Jehol, a z pracy stworzymy nasz nowy ideał. Rozumie pan!

— Rozumiem. Ja to chcę napisać w naszych pismach chińskich, żebyśmy wprowadzili ustrój oparty na prawach, o których pan mówił.

— Znów się pan myli. Nie wprowadzi go pan w Chinach, bo wy jesteście materjalistami, wierzycie tylko w handel zysk, brzuch i robienie dzieci. Tylko my ze społeczeństw chrześcijańskich, będąc zasadniczo idealistami, możemy rozumieć prawo tworzenia. Wy musicie naprzód dojść do pojmowania Boga i duszy, jak my ją pojmujemy i jak to jest w istocie.

— Skąd pan to wie?

— Z objawienia i rozumu.

— My też mamy rozum.

— Tylko nie umiecie się nim posługiwać, bo dusze wasze jeszcze śpią.

— Kung - Fu - Tse i Lao - Tse — byli to mądrzy ludzie.

— Ludzie. I ideały ich były ludzkie. Nam to nie wystarcza. My chcemy mieć w sobie Boga. Dlatego Europa nigdy nie zginie. Jeżeli wy tam w Azji na to liczycie, to się grubo mylicie i omyłka ta będzie was drogo kosztowała. Bliżsi prawdy są Hindusi, bo są metafizycy jak my. Łatwiej też korzystają z cywilizacji i kultury europejskiej, która zresztą w wielu punktach łączy się z ich filozofją.

D. c. n.



PADEREWSKI NA SREBRNYM EKRANIE

Chyba każdy z nas, nawet jeśli najdalej stoi od muzyki, dałby dziś wiele, aby móc usłyszeć grającego Chopina. Równie wiele dałby zapewne, aby go móc chociażby tylko — zobaczyć. Spojrzeć, jak się uśmiechał czy chmurzył, jak przelotne nastroje zmieniały wyraz jego twarzy, tak dobrze nam znanej z portretów.

Otóż właśnie: portret wielkiego człowieka już nam nie wystarcza. My, ludzie wieku XX-go chcemy dokumentów innych — bardziej żywych. Od męża stanu wymagamy nietylko, żeby podpisał mądry traktat — chcemy też oglądać go w czasie interesującego przemówienia. Uczony i lotnik, głowa kościoła i aktor, tancerka i filozof — wszyscy dziś znają potęgę filmu i nikt z nich nie protestuje, gdy wycelować weń objektyw. Doniedawna jednak wrogiem filmu był największy z pianistów współczesnych i najsławniejszy polak na kuli ziemskiej, Ignacy Paderewski.

Nagle — sensacyjna wiadomość: mistrz zgodził się nakręcić film...

Naturalnie znaleźli się natychmiast tacy, którzy „ze współczuciem" orzekli, iż Paderewski widocznie zbiedniał, jeżeli musiał się poniżyć aż do filmu. I oczekiwali z żałością w duszy, jak też wyjdzie na srebrnym ekranie gra i postać Paderewskiego — tego niekoronowanego monarchy w świecie muzyki — jedynego artysty, któregoi królowie witają powstaniem z miejsc, gdy wchodzi na estradę. I tak samo ze czcią powstaje cała publiczność, pod każdą szerokością geograficzną.

Otóż pocieszyć trzeba natychmiast owych a priori ubolewających, że Paderewski nic w filmie nie stracił ze swej wielkości i swego indywidualnego sposobu bycia. Niedociągnięcia tego filmu są raczej po stronie dźwiękowej: poprostu aparatura dzisiejsza nie osiągnęła jeszcze tego poziomu doskonałości, aby móc z idealną ścisłością odtworzyć niezwykłe walory gry Paderewskiego.

Ale poza grą Paderewskiego ciekawi byliśmy przecież jego samego. I tu zawodu nie było. Walory wzrokowe filmu wystąpiły w „Sonacie księżycowej" w całej pełni. Film dowiódł, że jest niezastąpionym już dziś dokumentem. Paderewski — stwierdzić to trzeba odrazu — jest niezrównanie fotogeniczny. Wspaniała lwia głowa, natchniona twarz, powściągliwe ruchy — składają się na całość dostojną. Niema w nim nic z kabotyna. Paderewski w tym filmie nie gra — on cały czas jest sobą. Wplątany w akcję dość błahą, ale miłą i pogodną — gra w filmie mistrza Paderewskiego, który grą swoją niesie ludziom szczęście, nawet gdy o tem sam nie wie.



Ignacy Paderewski w filmie „Sonata Księżycowa"

A chociaż obsada filmu bardzo jest staranna i gra aktorów wyrównana i sharmonizowana — to właściwie nie mamy oczu i uszu dla innych: istnieje tylko on jeden.

Postać to naprawdę fascynująca. Wśród perypetyj scenarjusza przesuwa się Paderewski trochę jakby nie był przy tem wszystkiem obecny. Jest w nim zupełnie wyczuwalne wewnętrzne oderwanie od rzeczywistości, jest przy każdem odezwaniu, przy każdej z wytworną uprzejmością udzielanej odpowiedzi jakiś odcień schodzenia z innej płaszczyzny, jakby na chwilę porzucał własne swoje królestwo myśli, aby zrobić tym ludziom przyjemność i porozmawiać z nimi. Ten styl — zupełnie naturalny i nie podkreślony żadnemi aktorskiemi sztuczkami — poprostu własny styl wielkiej indywidualności Paderewskiego — jest czemś tak jedynem i odrębnem, że wszyscy inni aktorzy przy nim wyglądają — trudno, przyznać trzeba — cokolwieczek wulgarnie. On jest najwidoczniej z innej rasy.

Ma się nieodmiennie wrażenie, patrząc na jego mimikę i gestykulację, że ten człowiek tak jest wypełniony treścią, iż forma jego zmienić się w żadnym wypadku nie może: ta forma ściśle do treści przylega. Dlatego Paderewski poruszałby się jednakowo na dworze królewskim i wśród dzikich plemion murzyńskich, na piaskach Sahary i na posadzkach arystokratycznych salonów. Dziś, gdy mało kto ma własny styl, gdy nawet dużej miary indywidualności *grają* siebie w sposób, który się im samym wydaje najbardziej efektowny — ta niezmierna prostota i uduchowienie Paderewskiego wzruszają bardziej, niż najmocniejsze akcenty melodramatyczne. Dlatego ten film, posiadający jak każdy inny film swoje usterki i niedociągnięcia — jest mimo to najciekawszym filmem, jaki sobie można wyobrazić. Pozwala nam obcować z wielkością.

Jest w „Sonacie księżycowej" doskonale wyzyskana możność obserwowania rąk Paderewskiego w czasie gry. Tutaj już srebrny ekran naprawdę nabiera charakteru dokumentu, dla historji pianistyki nieocenionego. Te ręce mocarza dźwięków, te ręce, które wyczarowują od lat kilkudziesięciu najpiękniejsze tony na świecie, poruszają się po klawiaturze z taką pozorną prostotą i naturalnością, tak bez wysiłku, jakby od niechcenia — że patrzymy i oczom nie wierzymy: znamy dobrze trudności techniczne Poloneza As-dur Chopina, czy Rapsodji Liszta — słuchając ich na koncertach niejednokrotnie widzieliśmy na estradzie zmaganie się z fortepianem pianistów dużej miary. Jakiż tu dystans...

Te partje filmu, w których patrzymy na ręce Paderewskiego, najbardziej są wymowne i najcenniejsze. Będą je w przyszłości studjować pianiści wszystkich pokoleń. Gdyby z filmu „Sonata księżycowa" nie pozostało nic innego, tylko te fragmenty — już byłby to film niezwykły.

Zastępca.

CLAUDE FARRÈRE

POWIEŚĆ W ODCINKU

Człowiek, który zadzwonił, przeszedł obok loży portiera i wymienił nazwisko jednego z lokatorów. Następnie, dla ostrożności, zamiast wejść po schodach pojechał windą, by jej monotonnym turkotem uśpić czujność cerbera. Nie obeznany z kamienicą omylił się i wysiadł na drugim piętrze zamiast na pierwszym.

Drzwi miały dwa zamki. Wystarczyły trzy ciche obroty wytrychem, żeby je otworzyć. Mężczyzna wszedł do mieszkania, zamknął za sobą drzwi i zapalił światło elektryczne. Mieszkanie było bezwątpienia puste. Mężczyzna niósł w ręku pustą walizkę. Zostawił ją w przedpokoju i otworzył trzecie drzwi na lewo; tu, według planu mieszkania — prawdziwi włamywacze mają zawsze plan mieszkania — musiał znajdować się gabinet bankiera Schwarzschilda, który obecnie przebywa w swej willi w okolicach Chantilly. A w gabinecie tym miała stać kasa, którą warto było się zainteresować.

Gdy otworzył trzecie drzwi, wprawdzie bez hałasu, ale też bez zbytniej ostrożności — bo przecież mieszkanie było puste — ujrzał nie gabinet, lecz sypialnię, zresztą bardzo wykwintnie i gustownie urządzoną; pośrodku sypialni stało olbrzymie łóżko, a w łóżku tym leżała kobieta.

Kobieta, która spała, obudziła się gwałtownie, przerażona. Rozległ się krzyk, a raczej próba okrzyku.

— Na pom....!

Ale mężczyzna był już przy łóżku, prawą ręką zaciśniętą w pięść zatykał jej usta, lewą chwytając za telefon.

— Milcz!...

Kobieta śmiertelnie przerażona, wstrzymała oddech i nie wydała żadnego dźwięku.

Przestraszona i zdumiona zarazem patrzała na mężczyznę. On zaś po chwili odetchnął z ulgą; nie, ze strony tego stworzenia z pewnością nie groziło mu niebezpieczeństwo. Za bardzo się bało, odrazu to było widać. Roześmiał się szyderczo i spytał:

— No ty, co tu właściwie robisz?

— Ja? Ależ... ja jestem u siebie!...

Wzruszył ramionami.

— Łżesz! stary Schwarzschild nie jest żonaty!

Nie zrozumiała odrazu. Przyjrzał się jej uważniej i zmarszczył najeżone brwi:

— Jak się nazywasz?

Nie przyszło jej nawet na myśl skłamać, zanadto się bała.

— Jestem żoną Ksawerego de Montespan...

— Ksawerego de Montespan... Ale gdzież jest w takim razie... stary Schwarzschild?...

— Pan Schwarzschild mieszka o piętro niżej...

— Do licha! — ryknął, a po chwili z porywczością w głosie:

— Czy jesteś przynajmniej sama w tej budzie?

Zawahała się tylko na chwilę, bo już postąpił ku niej, jak gdyby chcąc ją udusić.

— Tak, sama jedna! — zawołała. Sama jedna i nie zdradzę pana! Tylko niech pan mnie nie zabija — Mój mąż jest w podróży, ze względu na swoją nową powieść...

— Dobrze, — mruknął. — Bądź cicho i pokaż, gdzie są pieniądze.

Drżąc na całym ciele, wskazała palcem na wielką czarną szafę biblioteczną naprzeciw łóżka.

— Tam... w szufladzie.

Zanim wypuścił telefon z ręki, rzucił jeszcze na nią groźne spojrzenie. Po chwili był już przy szufladzie. Nie była zamknięta.

— Co to znaczy? — zawołał wściekły, zajrzawszy do środka.

— Nie jesteśmy bogaci...

— A to co jest?

Jak na biednych ludzi mieszkanie było urządzone ze zbyt wielkim przepychem. Ale ona oświadczyła, tłumacząc się:

— Ach mój Boże! To trzeba mieć! Mój mąż pisze książki, jak już panu wspomniałam...

Włamywacz zastanowił się przez chwilę:

— Książki?... Co to pani mi przedtem powiedziała? Jakie nazwisko? Ksawery...

— Ksawery de Montespan.

— Ten który napisał „Dwa razy dziewicą" i „Człowieka bez głowy?"

— Ależ naturalnie!

— „Człowiek bez głowy" — to było kapitalne! Przeczytałem połowę w jakiejś gazecie... Ale nie, to nie prawda, pani mąż tego nie napisał!

— To prawda! Niech pan zajrzy do szafy bibliotecznej. Tam stoi ta książka, o ta, w niebieskiej oprawie...

Niezręcznie sięgnął po książkę.

— „Człowiek bez głowy" — powiedział. — Nie doszedłem do końca, nie wiem jak się kończy...

Upłynął długi kwadrans, a człowiek wciąż stał nieporuszony, z otwartą książką w ręce. Czytał, nie odrywając się.

Gdy zegar wybił jakąś godzinę, drgnął, otrząsnął się jakby ze snu, i spojrzał na leżącą wciąż bez ruchu kobietę, innymi oczyma.

Zapytał, wskazując na książkę:

— Czy mogę zabrać to? Tylko to!

Skinęła kilkakrotnie głową:

Wówczas oddalił się cicho i pełen szacunku.

Przełożył M. Gł.

Wyniki ciągnienia II-ej klasy

W dniu 22 b. m. zakończone zostało ciągnienie drugiej klasy trzydziestej ósmej Loterji Klasowej.

Główna wygrana tej klasy wynosiła sto tysięcy złotych i padła na nr. 169.961. Właścicielami poszczególnych ćwiartek tego numeru są mieszkańcy Łodzi: mianowicie pp. Leon Kwaśniewski, tkacz w fabryce Schweigerta w Łodzi, Stefan Król robotnik w fabryce Steinerta tamże, Bronisław Król, robotnik, K. M. urzędnik jednej z instytucji kredytowych, A. M., robotnik i T. A., biuralistka.

Po raz pierwszy w klasie drugiej wylosowano wygraną siedemdziesiąt pięć tysięcy złotych. Przypadła ona numerowi 113.074, będącemu w posiadaniu mieszkańców Warszawy — dwóch kupców, urzędnika i aktora. Każdy z nich otrzymał po piętnaście tysięcy złotych.

Wesołe święta będą mieli również współwłaściciele losu numer 68.241, który wygrał pięćdziesiąt tysięcy złotych. Są nimi robotnicy, zamieszkali w dzielnicy staromiejskiej, oraz w miejscowościach podstołecznych. Chociaż każda niemal ćwiartka była własnością kilku, a nawet kilkunastu osób, wygrana kwota stanowi dla nich — jak to sami przyznali poważną zapomogę.

Poza tem była jeszcze wygrana w wysokości trzydziestu tysięcy złotych, oraz wiele innych; razem dziesięć tysięcy wygranych na sumę milion sześćset dziwięćdziesiąt dwa tysiące czterysta pięćdziesiąt złotych.

W klasie trzeciej, której ciągnienie rozpoczyna się 13 kwietnia r.b., główna wygrana wynosi również sto tysięcy złotych, natomiast wygranych po siedemdziesiąt pięć, pięćdziesiąt i trzydzieści tysięcy jest po dwie, po dwadzieścia tysięcy — cztery, po piętnaście tysięcy sześć i t. d. Ogólna suma wygranych wynosi dwa miliony osiemdziesiąt dziewięć tysięcy pięćdziesiąt złotych.

Przy sposobności przypominamy, że czas odnowić los do trzeciej klasy. Kto uczyni to w porę, ten może być pewny, że nie będzie narażony na jakiekolwiek trudności, lub komplikacje.

CZY PANI WIE, ŻE...

...kurz to śmierć jak głosi znana maksyma francuska. Na to zaś, aby kurzu nie było w mieszkaniu, trzeba przedewszystkiem zwracać baczną uwagę na gładkość podłóg i posadzek. Doprowadzone do perfekcji — to znaczy zaciągane tylko znakomitą ZAPRAWĄ DO PODŁÓG firmy DOBROLIN — posiadać będą one lśniącą, wypolerowaną powierzchnię, na której kurz nigdy się nie utrzyma.

...kilka czytelniczek zapytuje mnie o to samo: mianowicie czy radzę im unikać mydła przy myciu twarzy. „Instytuty kosmetyczne obecnie lansują modę niemycia się wodą lecz lotionami, każą wyrzucić mydło, a używać kremów. Czy pani to popiera?" — pisze jedna z pań widocznie zafrasowana.

Otóż nie — wcale tego nie popieram, gdyż żaden krem nie wymyje skóry tak do głębi, jak ciepła woda wraz z dobrem mydłem. Zaznaczam, że mydło musi być dobre, bo oczywiście złem, ostrem mydłem można sobie skórę zniszczyć. Ale bajeczki o skórach „które nie znoszą wody" — to są tylko bajeczki. Owszem — istnieją wypadki, kiedy skóry rzeczywiście nie wolno dotknąć wodą — ale zdarza to się tylko w wypadkach prawdziwej choroby skórnej, np. egzemy. W tych wypadkach jednak nie będą panie szukały rady ani mojej, ani instytutu kosmetycznego, tylko pójdą oczywiście do lekarza - specjalisty.

Dlaczego woda i mydło są konieczne? Dlatego, że tylko one usuwają ze skóry tę warstwę, która stale u żywego człowieka obumiera i niewidocznie się złuszcza. Przy myciu warstwa ta mechanicznie zostaje usunięta, a wydobywa się na powierzchnię warstwa skóry młodej. Tymczasem wszelkie „mycie" kremami — to tylko zasmarowywanie zużytego naskórka przeznaczonego właśnie do usunięcia: zamiast go ze skóry usunąć, my go wówczas jakby umacniamy, przyklejamy — z jakim rezultatem dla zdrowia skóry, łatwo zrozumieć...

...bluzki są niesłychanie modne. Tak modne, że ostatnio w Paryżu na eleganckim „lunchu" u znanej artystki większość pań zaproszonych ubrana była nie w suknie (całość) — lecz właśnie w spódniczki z bluzkami. Bluzki te były z jedwabnego crêpe-satin. w kolorach kości słoniowej, blado - różowym, lub złoto - żółtym. Do tego czarna spódniczka. A na to kładzie się na ulicę długi redingote z karakułów.

Dama Pikowa.



Z ŻAŁOBNEJ KARTY



Dnia 10 stycznia 1937 r. zmarła w Warszawie wdowa po ś. p. Juljanie Maszyńskim, artyście malarzu, Stanisława z Koskowskich Maszyńska. Wrodzonym wdziękiem, pogodą usposobienia i życzliwością dla ludzi zyskała sobie ich przyjaźń. Prócz tych zalet towarzyskich, miała serce czułe na każdą niedolę ludzką. Wielu dopomogła do zdobycia wykształcenia i stanowiska wielu wydźwignęła z biedy. Nie mówiła jednak nigdy o tem, co dobrego robiła dla innych, uważając to niejako za naturalny nakaz czującego serca, a nie czyn zasługujący na wyróżnienie.

Cześć Jej pamięci!

KAROL SZYMANOWSKI NIE ŻYJE

W chwili, gdy kładziemy na maszynę dzisiejszy numer „Świata", nadeszła z Lozanny wieść żałobna: znakomity muzyk polski, Karol Szymanowski zmarł tam, prawie nagle, przeżywszy lat 54.

Oddawna już wątłe zdrowie twórcy „Harnasiów" napełniało troską jego przyjaciół i wielbicieli jego talentu.

Od szeregu miesięcy wiedzieliśmy o gruźlicy gardła, która nieubłaganie toczyła jego organizm. Śmierć jednak przyszła dla wszystkich zupełnie nieoczekiwanie.

Trudno objąć w krótkiej notatce ogrom jego twórczości. Poczynając od dzieła pierwszego — młodzieńczych 9 Preludjów skomponowanych przed laty 32 — dał muzyce polskiej szereg dzieł najwyższej wartości. Pieśni bardzo piękne, spopularyzowane przez siostrę, Stanisławę. Szereg utworów fortepianowych, „Maski", opery „Hagith" „Król Roger", oratorjum „Stabat Mater", symfonje.

Życie górali tatrzańskich dało mu natchnienie do utworów doby ostatniej — wśród nich słynny już balet „Harnasie", z ogromnem powodzeniem wystawiony w Paryżu.



Karol Szymanowski

Odszedł jeden z niewielu polskich kompozytorów naprawdę wielkiej miary.

Komunalne Kasy Oszczędności (K. K. O.) są dźwignią dobrobytu.

„Podciągnąć Polskę wyżej, by dorównać mogła innym narodom" — oto jest drogowskaz Wodza Naczelnego ku rozwojowi życia gospodarczego a przeto i potęgi obronnej Państwa.

Niezawisłości politycznej narodu towarzyszyć powinna niezależność ekonomiczna, oparta przedewszystkiem na spotęgowaniu sił własnych. — Gromadzenie kapitałów, jako zasobów energji zbiorowej, służyć może za sprawdzian dobrobytu powszechnego.

Komunalne Kasy Oszczędności (K. K. O.) w liczbie 365 są w Polsce — wzorem państw zachodnich — regjonalnymi zbiornicami, ogniskującymi nie tylko zaufanie ogółu miejscowego, lecz i jego dorobek materjalny.

Wszystkie K. K. O. łącznie z Kasą Galicyjską we Lwowie i rusińską „Szczadnicą" w Przemyślu, jednoczą przy sobie zgórą półtora miljona ciułaczy drobnych, reprezentują pokaźny zespół energji pieniężnej: bezmała 800 miljonów zł. kapitałów i lokat (łącznie z wkładem instytucyj prawno-publicznych i finansowych).

Dzięki rozgałęzionej swej akcji kredytowej na potrzeby **dolnych** warstw narodu tworzą K. K. O. ożywczy nurt dla dobrobytu ogólnego, skoro zespół **drobnych** pożyczkobiorców przekracza w K. K. O. 800.000 jednostek.

W Polsce odrodzonej zdołały K. K. O. ugruntować sobie w tej dziedzinie przodujące miejsce. — Jednym z takich zakładów pieniężnych — kredytowych jest podstołeczna K. K. O. (na pow. Warszawski) z siedzibą w Warszawie, przy ul. Zgoda Nr. 7 (gmach własny), z Oddziałami: w Pruszkowie, Piasecznie, N. Dworze i Jeziornie.

Po ośmiu latach swego istnienia zgromadziła ta K. K. O. przeszło 38.000 ciułaczy (kont oszczędnościowych) przy ogólnej kwocie lokat i wkładów zł. 26.546.046 a rocznym obrocie z górą 163.000.000 złotych.



Za okres ośmioletniej swej działalności zdołała ta Instytucja rozprowadzić kredytów i pożyczek na sumę zł. 66.647.202.— (46.187 pożyczkobiorców) na cele budowlane, zakup narzędzi i inwentarza, kupno krów, zakładanie sadów i t. p., stwierdzając żywotność finansową i gospodarczą doniosłość tej placówki na równi z innymi K. K. O. w Polsce. Pupilarna gwarancja, jaką ustawowo zapewniają wszystkim K. K. O. — (niezależnie od ich kapitałów własnych) — na poszczególnych regionach Związki Samorządowe — (jako gwaranci w myśl Rozporządzenia P. Prezydenta Rzplitej o K. K. O.) — stanowi trwałe podłoże zaufania a zarazem i kontroli grosza publicznego.

Kurs pielęgnowania róż w ogrodach

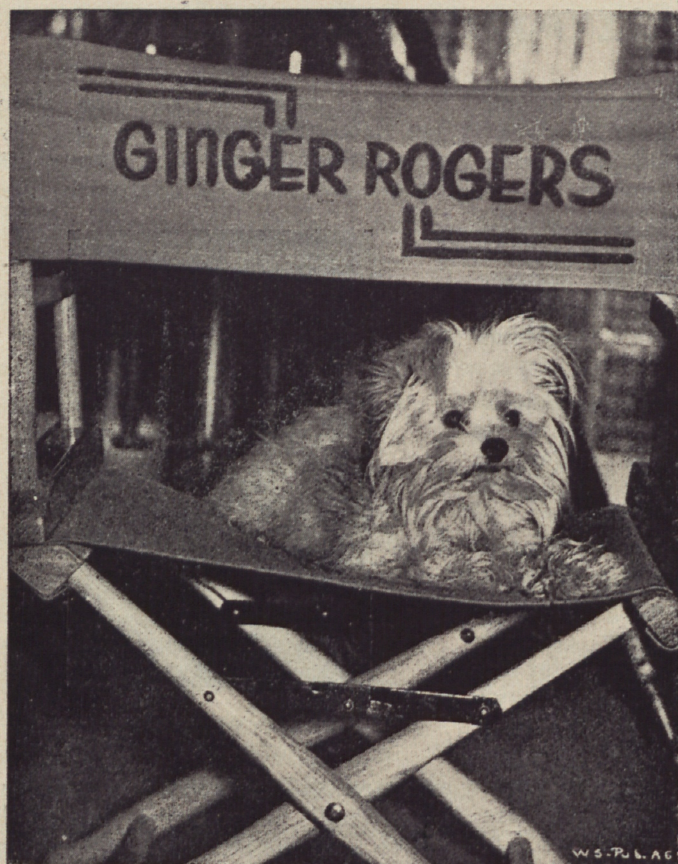
Koło Miłośników Ogrodnictwa urządza w czasie od dnia 7—12 kwietnia r. b. Kurs pielęgnowania róż w ogrodach. Kurs obejmie: klasyfikację, rozmnażanie, uszlachetnianie, zastosowanie róż w ogrodach sadzenie, cięcie, zasilanie, zimowanie oraz choroby i szkodniki róż. Prelegentami będą: p. Inż. E. Nalepińska, p. St. Schönfeld i p. Dr. Gorjaczkowski.

Wykłady będą się odbywały w Tow. Ogrodn. Warszawskiem — Bagatela 3 (I piętro) od godz. 6½ — 8½ wiecz. Praktyczne ćwiczenia cięcia róż na gruncie.

Zapisy i informacje: Biuro K. M. O. Al. Jerozolimskie 20 m. 16, tel. 632-70, Kierowniczka Kursu p. Wysocka — tel. 840-18, Skład Nasion B-ci Chomicz — Zgoda 8 oraz w dniu rozpoczęcia wykładów na miejscu — Bagatela 3.

Ilość miejsc ograniczona.

ŚWIAT



Ulubieniec Ginger Rogers, Waldo — zajmuje fotel swej pani, na którym zwykła wypoczywać podczas przerw w nakręcaniu filmu

„Teodora robi karierę"
Colosseum

Kiedy przed paroma laty nieznana wówczas aktorka filmowa, Irena Dunne, debiutowała w znakomitym, głęboko ujętym obrazie „Boczna ulica" sukces nieznanej debiutantki przeszedł wszelkie oczekiwania. Irena Dunne wstępnym bojem zdobyła krytykę, publiczność i wytwórnie. Jej dramatyczna rola stanowiła skończone wydanie artystyczne, była rewelacją. Prawdziwość i głębia odczucia szlachetna prostota gry, porywająca ekspresja i duże walory zewnętrzne wróżyły młodej artystce świetną przyszłość.

Tymczasem wbrew utartemu zwyczajowi, że nowoodkryta gwiazda siedmiomilowym krokiem robi karierę, o Irenie Dunne słyszy się niewiele.

Po paru latach przerwy ujrzeliśmy ją znowu w dwóch obrazach średniej miary, gdzie („Roberta") nie wyzyskano jej możliwości dramatycznych, postawiono na drugim planie za parą znakomitych tancerzy Ginger Rogers i Fred Astaire. Z tego obrazu dowiedzieliśmy się tylko, że Irena Dunne poza zdolnościami dramatycznymi posiada jeszcze jeden wielki atut — piękny świeży głos.

Nic tedy dziwnego, że zapowiedź nowego filmu „tajemniczej" gwiazdy zelektryzowała publiczność. Jeśli dodamy do tego, że film Ireny Dunne reżyserował znakomity Ryszard Bolesławski, który tym razem lansował tę artystkę w roli komediowej — zrozumiała się wydaje ogromna frekwencja, te tłumy publiczności, które widzieliśmy w kinie „Colosseum".

Każdy film przedwcześnie zgasłego Ryszarda Bolesławskiego jest wydarzeniem artystycznym dużej miary. Ten jest ostatni.

Talent realizatorski Bolesławskiego w nieustannym rozwoju daleki był jeszcze od wypowiedzenia ostatniego słowa. Mistrzowski sposób przeprowadzenia omawianego filmu, znakomite w swej prostocie środki wydobycia świetnych efektów komediowych z najbardziej — zdawałoby się — szablonowych sytuacyj, doskonałe zrozumienie techniki filmowej, wyczucie wartości dynamiki, gestu i skrótu przy niezawodnym operowaniu tempem i ruchem stwarzają z dość interesującego acz prostego scenariusza film wysokiej klasy.

Naiwna historyjka o świetnej, oszałamiającej karierze Teodory Lynn, która z uległego dewotkomciotkom dziewczęcia przekształca się w dojrzałą, pewną siebie, sławną powieściopisarkę, posłużyła Bolesławskiemu do stworzenia świetnej satyry na fałszowaną pruderję i niezdrową moralność zakłamanych dewotek i pozwoliła ośmieszyć zaściankowość głębokiej prowincji, zacofanie i przedwieczną pseudo-moralność.

Nachalne wścibstwo, plotkarstwo, obmowa podstarzałych pan-



REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Szpitalna 12. Telefon 5-04-00. Konto w P.K.O. Nr. 3755
Administracja otwarta codziennie z wyjątkiem świąt niedziel od godziny 11 do 3 pp.
Redakcja od godziny 11 — 2 pp. Redaktor naczelny przyjmuje w czwartki od godz. 11 — 1 pp., tylko po uprzednieni porozumieniu się z sekretarjatem. Telefon 2-10-87. **Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.**

F I L M U

nic-kumoszek z małego miasteczka zostało dobitnie, jaskrawo ośmieszone szeregiem kapitalnych skrótów, dosadnych fragmentów, świetnie zmontowanych sytuacji. Inteligentne wyzyskanie tła, oświetlenia, charakteryzacji i ról drugoplanowych daje rewelacyjne wyniki.

Na tym tle jasną plamą odcina się miła sylwetka uroczej Ireny Dunne. Pełna zdrowych marzeń dziewczyna idzie przebojem w świat wbrew opinii małomiasteczkowej moralności. Jej naturalny zrozumiały pęd do życia odnosi podwójny triumf: walne zwycięstwo na terenie zwalczającego ją miasteczka i pełne uznanie publiczności.

Przez przeniesienie punktu ciężkości na czysto kinowe efekty drugoplanowe, gra czołowych bohaterów schodzi na plan dalszy. Dzieje się to z pewną krzywdą świetnej Ireny Dunne: jej duże możliwości są niezupełnie, niedostatecznie wyzyskane. Natomiast cofnięcie z pierwszego planu postaci Michała Granta, rysownika koncernu wydawniczego, lansującego powieść tytułowej bohaterki komedii, publiczność przyjmuje z uznaniem. W postaci Michała Granta tkwi pewna sztuczność. Jest jakiś nieuchwytny cień niechęci. Melwyn Douglas, grający tę rolę nie opracował jej dostatecznie. Na tle znakomicie funkcjonującego zespołu stanowił najsłabszy, najmniej prawdziwy punkt. Każde jego (zwłaszcza początkowe) pojawienie się na ekranie wywoływało wrażenie, że coś jest nie tak, jak być powinno. Zbytnie uproszczenie skomplikowanej sylwetki Michała Granta, częste przeszarżowanie poszczególnych scen raziły niemiłym fałszem.

Poza tym film Columbii jest bez zarzutu. Możnaby tylko wyrazić życzenie ściszenia aparatury dźwiękowej, gdyż niektóre fragmenty dialogu wychodzą zbyt wrzaskliwie.

Nadprogram wyświetlana jest świetna groteska kolorowa Walt Disney'a „Opera Miki", znakomite pomysły walczą o lepsze z doskonałością rysunku i barwy.

J.



Jack Oakie, który występuje w filmie „Dziewczynka z Paryża" wytwórni R. K. O. Radio — ze swą partnerką Wenitą Varala — otoczony gromadą swych ulubieńców.

Greta Garbo — Pani Walewska

Dramatyczna, gwałtowna epoka Napoleońska, jak żadna — nadaje się do sfilmowania.

Napoleon potrafił porwać za sobą miliony.

Szły wieści z pól Jeny, z pod Austerlitz, Marengo... Sławą okrywały się sztandary, mitem stawało się imię Napoleona.

Napoleon Bonaparte był nietylko wodzem genialnym. Był przedewszystkiem człowiekiem z jego radościami i cierpieniami.

Na polach bitew, w zamierzeniach swych i planach Napoleon był wielki.

Wielką też była miłość Napoleona do pani Walewskiej. Szambelanowa Walewska, żona starszego od niej o kilkadziesiąt lat magnata Colonna - Walewskiego, nie chciała tej miłości. I choć pierwsza drogę cesarzowi zabiegła nie zdawała sobie sprawy z tego, że dla niej Napoleon tylko mitem był, mitem sławy i walk zwycięskich, prowadzonych — jak wierzyła — do zmartwychwstania Polski.

Napoleon zakochał się w kobiecie, która była dlań wcieleniem tych cech kobiecych, jakich nigdzie indziej znaleźć nie mógł.

Początkowe uczucie podziwu, jake żywiła pani Walewska dla Napoleona, przerodziło się w głęboką, żarliwą miłość, dla której ta najpiękniejsza wtedy Polka poświęciła wszystko, co jej było drogie.

Metro - Goldwyn - Mayer przystąpiło do sfilmowania powieści Gąsiorowskiego „Pani Walewska". Rolę pani Walewskiej odtworzy Greta Garbo.

Napoleona kreować będzie francuski aktor filmowy Charles Boyer.

Reżyserować będzie George Cukor.

ŚWIAT FILMU

Sfinks Hollywoodu

Jeszcze 4 lata temu nazwisko Katarzyny Hepburn pogrążone było w głębokich mrokach. Żaden reżyser, żeden dyrektor teatru nie miał pojęcia, że ktoś o takim nazwisku istnieje na świecie. Może tylko kilka sekretarek większych agencji teatralnych na Brodway'u miało zanotowane gdzieś w kartotekach nazwisko bezrobotnej aktorki, smukłej, czerwono - włosej, o dużych, pełnych wyrazu oczach i lekko piegowatej cerze.

Dziś nazwisko to jest w Ameryce, a może nie tylko w Ameryce, już pewnego rodzaju pojęciem, tak jak nazwisko Chaplina, czy Grety Garbo. Wielka ta aktorka, która w ciągu tak krótkiego czasu wspięła się na wyżyny sławy, zdobyła tę sławę może najbardziej zasłużenie. Nigdy żadna gazeta nie wyłowiła jakiegoś skandalu, dotyczącego jej osoby. Nie popularyzowała swego nazwiska rozwodami, opisywanemi na pierwszych stronach dzienników. Nie zmieniała kochanków, nie zmieniała wytwórni, w której pracowała. Żyła spokojnie i cicho na odludziu.

Urodziła się w Hardford, w stanie Connecticut. Pochodzi ze znanej, arystokratycznej rodziny, a matka jej była jedną z bardzo znanych profesorek prawa w Ameryce. W 17 roku życia wstąpiła Katarzyna na uniwersytet, a to do bardzo wysoko postawionego Bryn - Mawn College. Z ciężkim trudem przeszła studia, gdyż jej nieokiełzana samowolna natura z trudem pozwoliła jej się podporządkować normalnej szkolnej dyscyplinie. Z ulgą też opuszczała kolegium, z tytułem doktora filozofii, specjalizując się w psychologii.

Za zgodą swoich rodziców, udała się do Nowego Jorku, by szukać szczęścia na scenie. Rzadko kiedy którykolwiek aktor, czy aktorka natrafili w swojej karierze na tyle trudności i musieli pokonać tyle przeszkód, ile Katarzyna Hepburn. Jej nierozumna powściągliwość i duma nie pozwoliły jej na odpowiednie postępowanie z agentami teatralnymi. Gdy po kilku godzinach czekania w poczekalni dany agent krzywo się na nią popatrzył, traciła całą odwagę i nie umiała obronić swojej sprawy.

Po długich miesiącach otrzymała wreszcie rolę w małym teatrze wędrownym, w sztuce „The Czarin". Po powrocie z objazdu, znany w Ameryce Arthur Hopkins dał jej główną rolę w jednym z teatrów na Brodway'u w sztuce „Holiday", lecz miała grać rolę zastępczą i dublować słynną Hope Williams. Wieczór za wieczorem stała ubrana w piękną suknię za kulisami, czekając, czy wielkiej Hope nie rozboli głowa. Lecz nie miała szczęścia Katarzyna. Przez cały długi sezon Brodway'u Hope Williams nie opuściła ani jednego przedstawienia.

Po raz drugi uśmiechnęło się do niej szczęście, gdy miała grać obok sprowadzonego wtenczas z Anglii Leslie Howarda w sztuce p. t. „Tre Animal Kingdom". Lecz tym razem Katarzyna Hepburn ujmowała rolę inaczej, niż żądał tego reżyser sztuki i nie ustąpiła reżyserowi, a wobec tego musiała zrezygnować z wielkiej szansy. I może ten właśnie nierozważny krok przyczynił się do jej powodzenia. Ta młoda niedoświadczona aktorka, która sprzeciwiła się staremu wydze reżyserowi zaimponowała dyrektorowi teatru. Zajął się nią jeden z najpoważniejszych reżyserów filmowych George Cukor. Sprowadził ją do Hollywood i po długich targach z producentami przeforsował dla niej główną rolę w filmie „A Bill of Divorcement". Sprawa Katarzyny Hepburn wisiała na włosku, gdyż producenci nie chcieli zaryzykować olbrzymich sum, jakie film ten miał kosztować, dla małej piegowatej aktorki. Sprzeciwił się temu także John Barrymore, który w filmie tym grał główną rolę, a który w owym czasie stał jeszcze u szczytu swojej sławy. Jednak tym razem George Cukor zwyciężył, a co więcej kilkakrotnie w czasie pracy nad filmem ustąpił Katarzynie Hepburn.



Kapitalna trójka aktorów: Ćwiklińska, Orwid, Fertner—w doskonałej scenie nowej komedii polskiej „Pan redaktor szaleje".—jedna z najbliższych premier w kinie „Atlantic"

Bezpośrednio po ukończeniu zdjęć Katarzyna wyjechała do Anglii na dłuższą wycieczkę samochodową i tam dostała telegram o fantastycznem powodzeniu, jakie film zdobył sobie w Ameryce. Przerwała urlop i wróciła do Hollywood, gdzie w wytwórni RKO Radio czekał już na nią długoletni kontrakt.

Ostatni jej film „Zbuntowana" — to dramat młodej dziewczyny, nieuświadomionej, nie znającej życia, która pokutuje za błędy swych wychowawców. To obraz buntu kobiety, która jest ofiarą fałszywej moralności. Obok niej występuje w tym filmie świetny Herbert Marshall, a jako siostra jej — Elżbieta Allan.

Jaki jest ulubiony kwiat Katarzyny Hepburn? Jakie lubi najbardziej kolory? Jakie czyta powieści? Kto z donżuanów kolonii filmowej powoduje silniejsze bicie jej serca? Na te pytania nie możemy niestety odpowiedzieć — mimo, że cały szereg listów z podobnymi zapytaniami przychodzi codziennie do studia. Katarzyna Hepburn nie udzieliła do dzisiaj ani jednego wywiadu dziennikarzom.

REDAKTOR: L. CHRZANOWSKI. Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o. Druk. W. Łazarski, Dzierż. Spółdz. „SPÓJNIA", Żelazna 58a.

P